

Z KRAINY DUCHA GÓR



ŻYCIE • HISTORIA • NATURA • KULTURA
TURYSTYKA • KARKONOSZE I OKOLICE



Unia Europejska



**DOLNY
ŚLĄSK**



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie. Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Publikacja opracowana przez Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Ducha Gór, współfinansowana jest ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania 19.2 Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego kierowanego przez społeczność PROW 2014-2020



I STOPIEŃ (ZAGROŻENIE NIEZNACZNE)

Przez dłuższy czas brak opadów, stabilna pokrywa śniegowa - mechaniczne zejście lawiny jest możliwe przy bardzo dużym nacisku na skrajnie stromych stokach (> 40 stopni nachylenia). Możliwe samoistne występowanie małych lawin. Bezpieczne warunki do uprawiania narciarstwa i turystyki pieszej, bardzo strome stoki należy przechodzić pojedynczo.

II STOPIEŃ (ZAGROŻENIE UMIARKOWANE)

Pokrywa śnieżna średnio związana - zejście lawiny możliwe przy znacznym obciążeniu na bardziej stromych stokach (35-40 stopni). Nie należy wchodzić do żlebów i na strome odkryte stoki.

III STOPIEŃ (ZAGROŻENIE ZNACZNE)

Pokrywa śnieżna słabo związana na niektórych stromych stokach (> 30 stopni) - zejście lawiny może spowodować pojedynczy człowiek. Należy omijać niebezpieczne miejsca (np. stoki z nawianym śniegiem). Istnieje ryzyko samorobnego zejścia średniej lawiny.

IV STOPIEŃ (ZAGROŻENIE DUŻE)

Pokrywa śnieżna słabo związana na większości stoków stromych - duże lawiny mogą występować samoistnie. Należy poruszać się jedynie po bezpiecznych szlakach i trasach, choć zaleca się zaniechanie wyjścia w góry.

BEZPIECZNE GÓRY



☎ 601 100 300

☎ 985

☎ 985



Z myślą o bezpieczeństwie



WWW.GOPR.ORG WWW.FACEBOOK.COM/GOPRKARKONOSZE

Zawsze miej ze sobą niezbędny ekwipunek:

- ✓ Ciepłe i wodoodporne ubrania
- ✓ Czapkę, szalik i rękawiczki
- ✓ Pośitek na drogę i ciepłe napoje
- ✓ Podręczną apteczkę
- ✓ Mapę i kompas
- ✓ Latarkę
- ✓ Telefon komórkowy - z naładowaną baterią i zapisanymi numerami alarmowymi

Aplikacja Ratunek

Dzięki tej aplikacji osoby potrzebujące pomocy w górach, mogą skontaktować się ze Służbami Ratowniczymi.



Zasady bezpiecznego poruszania się po górach:

- ✓ Planuj trasy stosownie do możliwości i doświadczenia wszystkich uczestników wycieczki.
- ✓ Przygotuj ubiór i obuwie odpowiednie do warunków w górach
- ✓ Przed wyprawą w góry, przygotuj się fizycznie
- ✓ Sprawdź przebieg szlaków i ich stan, ewentualne trudności i niebezpieczne formy terenu na trasie.
- ✓ Przed wyjściem zapoznaj się z aktualnie panującymi warunkami i prognozą pogody.
- ✓ Jeśli to możliwe nie wychodź w góry samotnie, bezpieczniej iść w towarzystwie.
- ✓ Wychodząc w góry pozostaw wiadomość o dokładnej trasie i czasie trwania.
- ✓ Unikaj miejsc zagrożonych lawinowo.
- ✓ Jeżeli trasa tego wymaga weź ze sobą kije trekkingowe i raki lub rakiety śnieżne.
- ✓ W górach pilnuj by grupa trzymała się razem - wszystkie osoby w zasięgu głosu.
- ✓ Dostosuj tempo marszu do możliwości wszystkich uczestników wycieczki, staraj się nie doprowadzić do nadmiernego przegrzania organizmu.
- ✓ Poruszaj się tylko po wyznaczonych i otwartych szlakach turystycznych

Od redaktora

Zajrzyjcie do skarbca! Zajrzyjcie koniecznie! Do prawdziwego skarbca, jakim jest Kraina Ducha Gór. Znajdziecie w nim ogrom bogactw, o jakim wielu nawet nie śniło. I równie wielu wciąż nie ma pojęcia, choć klejnotów całe mnóstwo ma w zasięgu wzroku, na wyciągnięcie ręki, za oknem, pod bokiem, w najbliższej, otaczającej nas przestrzeni.

Nie wiecie, gdzie skarbów owych szukać? Rozejrzyjcie się wokół siebie, zerknijcie na mapy, które pomogą dotrzeć Wam tam, gdzie ciekawość świata wiedzie myśli i lokuje pragnienia. Drogowskazów mogących poprowadzić Was ścieżkami zachwytów nad urodą natury, tajemnicami przeszłości, urokami życia i ludzkimi pasjami trzymacie w rękach zbiór niemały. Oto drugie już wydanie magazynu „Z Krainy Ducha Gór”, na którego łamach opowiadamy o tym, czego dotknąć, doświadczyć i posmakować można, penetrując geograficzny oraz kulturowy obszar regionu pełnego cudów i cudeniek, jakich próżno szukać w innych miejscach. Piśzemy wyłącznie o tym, czemu warto poświęcić nieco uwagi i cennego czasu, nie wahajcie się więc zanurzyć w lekturze, warto bowiem poznać świat, z którego czerpać można życiową energię w ogromnych ilościach.

Oto więc „zimowe” wydanie naszego czasopisma. Siłą rzeczy najwięcej w nim śnieżnej tematyki. Rozpoczynamy jednak od kronikarskiej relacji z historycznego wydarzenia, jakim była pierwsza Gala Karkonoskiej Marki Lokalnej. Wielce wartościowe spotkanie i święto tych, którzy budują wizerunek regionu, wymaga bowiem godnego odnotowania i zwraca uwagę na autentyczne skarby regionu oraz działania budujące jego współczesne oblicze.

Za działaniami i społecznymi zjawiskami stoją ludzie, jakich warto poznać. Zapraszamy więc do rozmowy z mieszkającym pod Śnieżką Markiem Arcimowiczem – podróżnikiem, fotografem, dziennikarzem, który owocami swoich wojaży po odległych zakątkach świata w niebanalny sposób wzbogaca krajobraz Karkonoszy. O tym, że smak dalekich krajów poczuć można tutaj na miejscu, przekonują także gospodarze Małej Japonii, zapraszając do orientalnego ogrodu w Przesiece, który zimą przygotowuje się do wiosennej eksplozji życia. Nie zapomniamy jednak o przyrodniczych skarbach naturalnego krajobrazu okolicy. Czy znacie piękne karkonoskie pierwiosnki, pasjonujące przyrodników i urzekające artystów, poświęcających im swoje dzieła? No właśnie... Tymczasem pora na korzystanie z istic zimowych atrakcji. Co z nar-

tami? Gdzie powędrować zaśnieżonymi ścieżkami? Wybór jest spory. Ważne, by korzystając z uroków górskiej zimy, pamiętać o regułach gwarantujących przyjemność korzystania ze śnieżnych atrakcji i fundamentalnych zasadach bezpiecznego poruszania się w górach, co rusz dających nam lekcje pokory, gdy pokazują swoją potęgę.

Sięgając do wspomnień z przeszłości, przypominamy więc największą tragedię w historii polskich gór, jaka miała miejsce pół wieku temu, właśnie w Karkonoszach. Zapraszając zaś w kameralne Góry Izerskie apelujemy o wzajemny szacunek do otoczenia i wszystkich spotykających się w tym bajecznym miejscu, słynącym ze wspaniałych tras do biegania na nartach i pieszych wędrówek.

Dużo miejsca poświęcamy turystycznemu pulsowi regionu. Nie pomijamy przy tym aktualnych trendów i mód. Nie mogło więc zabraknąć miejsca na opowieść o kultowym już dziś morsowaniu, z którego walorów korzystać można w wielu przepięknych zakątkach naszej krainy. Ponieważ wielkie zainteresowanie wzbudzają też pasjonujące dzieje Miedzianki, zapraszamy na wyprawę do tej niezwyklej miejscowości w Rudawach Janowickich. I do Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze także, poczuć aromat pysznych tradycji piernikarskich nie tylko w czasie zimowych świąt.

Wybierając godne polecenia miejsca na kulturalnej mapie regionu, szczególną uwagę zwracamy na zjawiskowy Teatr Cinema, właśnie świętujący trzydziestolecie swojego istnienia.

Zachęcamy także do sięgnięcia na półkę z literaturą regionalną. Polecamy książkę wybitnego regionalisty Przemysława Wiatera „Pionierzy narciarstwa u Ducha Gór”, barwnie opowiadającą o niebanalnej radości z szusowania. Dla miłośników fantastycznych obrazów mamy natomiast jedną z opowieści zaczerpniętych ze słynnego już „Bestiariusza Jeleniogórskiego”, którego najnowszy tom dopiero trafia do spragnionych magii gór spowitych mgłami tajemnic...

Głodnym wrażeń płynących z uczestnictwa w emocjonujących wydarzeniach zwracamy uwagę na wybrane turystyczne, sportowe i kulturalne imprezy regionu, jakich nie można przegapić. A to tylko cząstka tego, co kryje w sobie Kraina Ducha Gór.

Daniel Antosik

5 / **Pierwsza Gala Karkonoskiej Marki Lokalnej** / Leszek Kosiorowski. Grzegorz Truchanowicz
Historyczne wydarzenie w Krainie Ducha Gór

12 / **O Karkonoszach, fotografii i sztucznej inteligencji** / Joanna Cychol
Rozmowa z Markiem Arcimowiczem podróżnikiem, fotografem, dziennikarzem, pomysłodawcą, założycielem i gospodarzem festiwalu FotoCamp w Karkonoszach

18 / **Kolej na Szklarską Porębę** / UM Szklarska Poręba
Nie tylko zimowe atrakcje miasta pod Szrenicą

20 / **Dla kogo Polana Jakuszycka?** / Ewa Kiraga-Wójcik
Nie zwykły zakątek Gór Izerskich przyciąga wielu turystów. Sukces rodzi problemy

24 / **Oblicza górskiej zimy – urzekające i... groźne** / Ewa Kiraga-Wójcik, Grzegorz Truchanowicz
Zaśnieżone zbocza i szczyty są piękne, ale bywają też szalenie niebezpieczne...

27 / **Największa tragedia w historii polskich gór** / Ewa Kiraga-Wójcik
W potwornej lawinie śnieżnej 20 marca 1968 roku w Białym Jarze zginęło 19 osób

30 / **Zjazdówki pozostaną potęgą** / Leszek Kosiorowski
Narciarstwo zjazdowe, pomimo szalejących kosztów i cen, pozostanie najpopularniejszym zimowym sportem w Karkonoszach

33 / **Morsy w Karkonoszach** / Joanna Cychol, Robert Zapora
Od kilku lat morsowanie przybrało formę modnej aktywności, stało się niemal powszechnym, wręcz narodowym zjawiskiem

38 / **Primula minima. Mały kwiat – symbol wielkiej miłości do regionu** / Olga Orlińska-Szczyżowska
Podziwiana i lubiana roślina mocno zakorzeniła się także w kulturowym krajobrazie regionu

40 / **Miedzianka – opowieść o mieście, którego nie ma** / Jarosław Szczyżowski
Fenomen małej miejscowości sprawia, że odwiedzają ją goście z całej Polski

44 / **Własną ścieżką z Michałowic. 30 lat Teatru Cinema** / Leszek Kosiorowski
Zjawiskowy teatr z Karkonoszy obchodzi właśnie znaczący jubileusz

48 / **Historia Piernikarskiego Rzemiosła** / Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze
Pobudzająca zmysły wystawa, którą trzeba zobaczyć

51 / **Mała Japonia pod Śnieżką** / Siruwia
Orientalny ogród, w którym można poznać roślinność i kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni bez konieczności odbycia dalekiej podróży

54 / **Z Bestiariusza Jeleniogórskiego...** / Tomasz Szyrwiel
Fantastyczne opowieści z krainy wiecznych mgieł

56 / **e-kraina Ducha Gór** / Partnerstwo Ducha Gór
Interaktywna mapa turystyczna już dostępna w sieci

58 / **O radości z szusowania** / Arkadiusz Lipin
„Pionierzy narciarstwa u Ducha Gór” – ostatnia książka Przemysława Wiatera

Z KRAINY DUCHA GÓR

Magazyn regionalny

WYDAWCA:

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania

PARTNERSTWO DUCHA GÓR

ul. 1 Maja 9 lok. użytkowy 2,
58-530 Kowary
tel. (+48) 75 644 21 65,
e-mail: sekretariat@duchgor.org
www.duchgor.org
www.skarbiecduchagor.pl

KRS: 0000321321
NIP: 611-266-36-54

KONTO BANKOWE:

17 1090 1926 0000 0001 2100 6746

REDAKCJA

Daniel Antosik
(redaktor prowadzący)
tel. 601572243

Dorota Goetz
(redaktor naczelny)

Joanna Cychol
Ewa Kiraga-Wójcik
Leszek Kosiorowski
Olga Orlińska-Szczyżowska
Jarosław Szczyżowski
Tomasz Szyrwiel
Grzegorz Truchanowicz

KOREKTA

Ewa Kiraga-Wójcik

OPRACOWANIE GRAFICZNE I SKŁAD

Konrad Szweczyk

ZDJĘCIA NA OKŁADCE

Radosław Pelisiak
UM Szklarska Poręba

DRUK

AD REM

Redakcja nie odpowiada za treść reklam i ogłoszeń, nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie i wykorzystywanie publikowanych materiałów tylko za zgodą wydawcy.



Operacja własna
Stowarzyszenia Lokalna Grupa Działania
Partnerstwo Ducha Gór
pn. „Magazyn Krainy Ducha Gór”

Obszar działania organizacji: Karpacz,
Janowice Wielkie, Jelenia Góra, Kowary,
Mysłakowice, Piechowice, Podgórzyn,
Szklarska Poręba

CZASOPISMO BEZPŁATNE



Pierwsza Gala Karkonoskiej Marki Lokalnej



Są dni, które tworzą kamienie milowe i 17 listopada 2022 z pewnością do nich należy. Po raz pierwszy odbyła się Gala Karkonoskiej Marki Lokalnej, zorganizowana przez Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Ducha Gór. Areną godną tego wydarzenia okazało się Centrum Przyrodniczo-Edukacyjne Karkonoskiego Parku Narodowego – Pałac Sobieszów. To było wielkie święto tożsamości lokalnej naszego regionu!



Certyfikowana PARALUZJA na scenie.

– Celebracja i wspólne świętowanie jest ogromnie ważne – stwierdziła Dorota Goetz. – Nie możemy zapominać, żeby nawzajem się doceniać, lubić, być dla siebie życzliwym, poczuć, że środowisko i ludzie, w tym produkty lokalne, są naszą wspólną troską.

Karkonoska Marka Lokalna – Skarby Ducha Gór to projekt, który oferuje wszystko, co najlepsze i autentyczne z Karkonoszy: doskonałe jedzenie, oparte na lokalnych produktach (serach kozich, ekologicznej wołowinie i baraninie, ekologicznych jajach, owocach pochodzących z okolicznych lasów) oraz rękodzieło wykonane przez lokalnych wytwórców: hafty, rzeźby, szkło artystyczne i użytkowe, kompozycje ze starych desek, filcowe zwierzątka, niecodzienne lalki, grafiki, malarstwo.

Na Gali ogłoszono Ambasadorów i Akcesorów Karkonoskiej Marki Lokalnej – Skarby Ducha Gór, wręczono również nowe certyfikaty KML.

Frekwencja spełniła nasze marzenia – sala była wypełniona po brzegi dziesiątkami znakomitych gości. Na rozgrzewkę zagrali i zaśpiewali duet PARALUZJA, a dyrektor Karkonoskiego Parku Narodowego Andrzej Raj wyjaśnił, dlaczego i jak warto chronić Karkonoski Park Narodowy.

Potem wystąpiła najbardziej dynamiczna (poza Mają Włoszczowską, rzecz jasna) kobieta Karkonoszy, czyli Dorota Goetz – prezes LGD Partnerstwo Ducha Gór, pomysłodawczyni wydarzenia, która wyjaśniała, czym jest i jaką wartość stanowi Karkonoska Marka Lokalna – Skarby Ducha Gór. Historyczną Galę prowadził sprawnie, sympatycznie i na luzie Daniel Antosik – dziennikarz, fotograf, menedżer kultury, redaktor naszego czasopisma.

Dlaczego Gala jest kamieniem milowym? Bo LGD Partnerstwo Ducha Gór działa od 18 lat, ale wydarzenia z takim rozmachem jeszcze nie zorganizowało i tak wielu ludzi wokół idei swojej działalności nie zgromadziło. I co być może najważniejsze: ci ludzie bardzo dobrze się ze sobą czuli, wielu się poznało, rozmawiali godzinami. Raczili się przy tym przepysznym jedzeniem lokalnych producentów, które można było popić takimiż napojami, również z procentami. Była to prawdziwa uczta, pierwszorzędną pod każdym względem.



Galę otworzyli wspólnie Dyrektor KPN Andrzej Raj i Prezes LGD Partnerstwo Ducha Gór Dorota Goetz.

Akcesorzy Karkonoskiej Marki Lokalnej:



Hotel Tremonti Ski & Bike Resort w Karpaczu z nagradzaną Restauracją GUSTO, w której szefem kuchni jest Maciej Morański.



Hotel Mercure Szklarska Poręba z Restauracją Bergamo by Mateusz Gessler, z szefem Andrzejem Sawką.

Certyfikaty KML otrzymali:

Ogród Siruwia – Mała Japonia

To nie tylko przepiękny ogród japoński, ale także kawałek prawdziwej Japonii. Został skomponowany zgodnie z japońską sztuką zakładania ogrodów oraz filozofią feng shui. Spacer po ogrodzie pokaże Wam piękno karkonoskiej przyrody zamkniętej w charakterystyczne dla Japonii kompozycje, strumienie i wodospady. W ogrodzie znajdziecie „Zakątek Laboranta” i najwyższej w Polsce położony plac zabaw Ducha Gór.

Certyfikowano: Ogród Siruwia. Mała Japonia

Browar Mariental

Od początku działalności przyświecała mu idea stworzenia produktu lokalnego, w oparciu o tutejsze zasoby i bogactwa. Produktu autentycznego, który stanie się swoistą wizytówką Szklarskiej Poręby i naszego regionu. Certyfikowano 5 rodzajów piwa:

1. Pszeniczne Szrenickie
2. Orle Pils
3. Koźlak Wysoki Kamień
4. Kamieńczyk American Pale Ale
5. Jakuszyckie Polskie Ale

PARALUZJA Aga Radziejewska i Bartek Drak

Wyznacznikiem działań zespołu muzycznego Paraluzja nie są drogowszaki i utarte szlaki, lecz chęć poznawania otwartych przestrzeni pełnych zaskoczeń, artystycznych doznań i nieskończonych inspiracji. Aga Radziejewska (śpiew, rękodzieło) i Bartek Drak (gitarra, malarstwo) lubią obcować z ludźmi. To artystyczne miejsce przepełnione jest rozmowami, piosenką, uśmiechem.

Certyfikowano: Paraluzja. Miejsce wielu sztuk. Malarstwo. Koncerty. Rękodzieło.

Siedlisko Pstrąga – hodowla pstrąga i rodzinna restauracja.

Pstrąg poddawany jest specjalnej filtracji wodą źródłaną i głębinową, podlega oczyszczeniu ozonowanym powietrzem i natlenieniu, dzięki czemu nabiera niepowtarzalnego smaku.

Certyfikowano:

1. Pstrąg w sosie warzywnym słodko – ostrym
2. Pstrąg w zalewie słodko-winnej pomidorowej
3. Pstrąg wędzony
4. Pasztet z pstrąga
5. Paprykarz z pstrąga karkonoski
6. Pasta z wędzonego pstrąga



Samorządowcy uczestniczący w uroczystości wystąpili w nowych, uszytych specjalnie dla nich strojach regionalnych zaprojektowanych przez Dorotę Mazur, z którą stanęli do wspólnego zdjęcia.

Jan Jach Gałek

Pracownia Jana Gałka działa w Mysłakowicach od 1991 r. Specjalizuje się w renowacji i konserwacji zabytków sztuki sakralnej, konserwacji kamienia, mebli, sztuki ludowej oraz związanych z nimi historycznymi technikami mazerowania. Jan Gałek kultuwuje wielopokoleniowe tradycje rodzinne, dziedzicząc warsztat po swoim ojcu Kazimierzu oraz dziadku

Janie. Stosuje zapomniane już technologie, przywraca konserwowanym przez siebie przedmiotom nie tylko wygląd, ale też i "duszę". Odrasturowane przez niego przedmioty (szczególnie meble i sejfy) spotkać można w antykwiariatach oraz prywatnych kolekcjach nie tylko w Polsce, ale też w Europie Zachodniej, Rosji i Stanach Zjednoczonych.

Certyfikowano usługi: Renowacja zabytków



Gale zakończyła degustacja smakowitości certyfikowanych Karkonoską Marką Lokalną.



Częścią wydarzenia były minitargi certyfikowanych produktów lokalnych.

Gospodarstwo Rolne Widok Kamila Pietraszek

Rodzinne gospodarstwo, prowadzone od 2007 roku, położone w Kowarach. Główny kierunek: uprawa aronii w jakości ekologicznej oraz jej sprzedaż. Gospodarstwo położone jest w Kowarach.

Certyfikowany: Susz z aronii ekologicznej – Karkonoska Aronia.

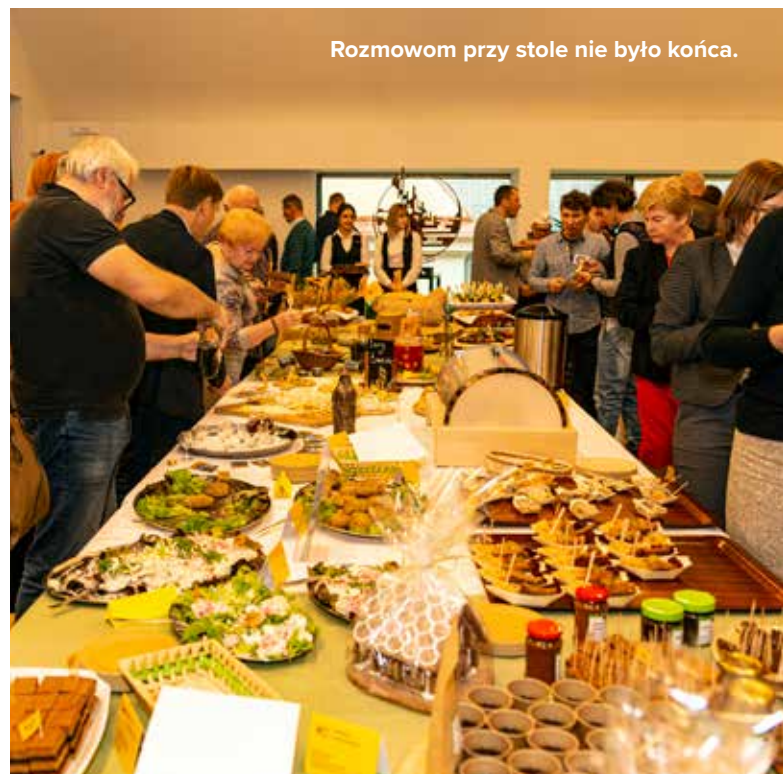
Sponsorzy Gali: Karkonoski Park Narodowy, Kawa Laboranta, Gigantei – Karkonoski Park Ducha Gór, Makutynowicz.Art, Muzeum Sentymentów, Piekarnia „UliJanka” Piechowice, Jan Jach Gałek, Sery Łomnickie, Likier Karkonoski, Dom Potok Karpacz, Pasieka Karkonoska, Kamila Pietraszek, Wiejskie Delicje, Barbara Sokołowska, Muzeum Ziemi JUNA – Strażnica Walońska – Szklarska Poręba, Sudecka Kraina, Słodka Chatka, Wydawnictwo Poligrafia AD REM Regina Chreścijańska.

Partnerzy Gali: Gmina Janowice Wielkie, Gmina Mysłakowice, Miasto Karpacz, Miasto Kowary, Gmina Piechowice, Gmina Podgórzyn, Miasto Jelenia Góra, Miasto Szklarska Poręba, Powiat Karkonoski.

Patronami medialnymi Gali byli: Telewizja Strimeo oraz Muzyczne Radio Jelenia Góra.

Galę wsparli także wolontariusze z Dolnośląskiego Zespołu Szkół w Karpaczu.

Tekst: Leszek Kosiorowski



Rozmowom przy stole nie było końca.

Zdjęcia: Grzegorz Truchanowicz oraz archiwa prywatne Ambasadorów KML

Ambasadorzy Karkonoskiej Marki Lokalnej:



Rafał Fronia – himalaista, uczestnik wypraw w góry wysokie, zdobywca Broad Peak w 2022 r., właściciel firmy wydawniczej i kartograficznej PLAN, autor książek o górach, mieszkaniec Łomnicy.



Kazimierz Pichlak – chirurg onkolog. Przeszedł na emeryturę, więc może oddawać się swoim pasjom: fotografii, poezji i podróżom. Regularnie podróżuje do Nepalu oraz Afryki. Jest autorem kilku tomików wierszy. Jeden z najaktywniejszych uczestników życia kulturalnego Jeleniej Góry i okolic.



Lucyna Kornobys – mistrzyni olimpijska w Igrzyskach Paraolimpijskich w rzucie oszczepem i pchnięciu kulą. W mistrzostwach Europy w Berlinie w 2018 w obu konkurencjach pobiła rekord świata. W 2019 zdobyła złoty medal w pchnięciu kulą na mistrzostwach świata w Dubaju, ustanawiając rekord świata. W 2021 odniosła sukcesy w igrzyskach paraolimpijskich.



Wojciech Dąbrowski – aktor teatralny i filmowy. Ukończył szkołę podstawową w Kowarach. Związany był z teatrami wrocławskimi: Teatrem Pantomimy w latach 80. i Teatrem Polskim do 2005. W 1997 roku utworzył Teatr Poniedziałkowy. Od 2004 roku gra pod szyldem swojego prywatnego Wrocławskiego Teatru Komedia. Występuje w wielu serialach telewizyjnych.



O Karkonoszach, fotografii i sztucznej inteligencji

Rozmowa z Markiem Arcimowiczem – fotografem, dziennikarzem, projektantem, pomysłodawcą, założycielem i gospodarzem festiwalu FotoCamp w Karkonoszach, nazywanego „fotograficznym Woodstock’iem”.

Marek Arcimowicz urodził się w roku 1972, w Wałbrzychu. Ukończył Wydział Architektury i Urbanistyki Politechniki Wrocławskiej. Fotograf magazynu National Geographic Polska – od początku jego istnienia, czyli od roku 1999. Członek SONY Imaging Ambassadors, ściśle związany z tą marką od roku 2008. Uczestnik i organizator wypraw wspinaczkowych, eksploracyjnych i naukowych. Od czasu do czasu przewodnik, wykładowca akademicki, alpinista, narciarz. W latach 2014-2018 uczestniczył jako fotograf w projekcie "Kobieta na krańcu świata" – Martyny Wojciechowskiej. Początkowo jego zainteresowania fotograficzne skupiały się wokół architektury i sztuki użytkowej. Później koncentrował się na aspektach dynamiki i ruchu w fotografii, a następnie na kondycji człowieczeństwa. W ramach międzynarodowej ekspedycji naukowej w roku 2012 wspiął się na niezdobyty wcześniej szczyt Tramen Tepui w Wenezueli. Plonem wyprawy było również odkrycie trzech nieznanych dotąd gatunków zwierząt. Uczestnicząc we wspólnych wyprawach, wspinając się i fotografując, niejednokrotnie współdziałał z elitą wspinaczy. Przez lata redaktor i „frontowy” fotograf Magazynu „Góry”.

Publikował na łamach wydawnictw książkowych (Znak, Stapis, Wydawnictwo Dolnośląskie, Góry, Galaktyka, National Geographic) i prasy (m.in.: „National Geographic”, „Traveller”, „Geo”, „Podróże”, „Focus”). Jego fotografie eksponowane były na kilkudziesięciu wystawach indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą. Współpracował z czołowymi agencjami reklamowymi w Polsce i za granicą, a także z WWF i Amnesty International. Żyje w międzykontynentalnym rozkroku, a w przerwach w pracy mieszka z rodziną w Karkonoszach.

– Pana dorobek zawodowy to przede wszystkim fascynująca biografia fotografa, wiele ekstremalnych, światowych projektów, liczne nagrody... A co dzisiaj najlepiej definiuje Pana zawodowo? Czy w obecnej sytuacji panującej na świecie to multidyscyplinarne życie w międzykontynentalnym rozkroku jest nadal aktualne?

– Tak, choć wiele się zmieniło. Znow zacząłem zajmować się też projektowaniem. Mniej jest wyjazdów. Najpierw straszliwie zamknęły nas w klatce obostrzenia pandemiczne, a teraz konsekwencje tych obostrzeń plus wojna w wielu wymiarach. Kryzys energetyczny, wysokie i niestabilne ceny wpływają na wzrost kosztów transportu, co sprawia, że mniej ludzi podróżuje i nie jest tak łatwo pojechać gdzieś dalej. Zmiany dotyczyły też różnych zasad wjazdu do niektórych państw. Długo nie można było wjechać do Japonii, pozamykane były granice lądowe itd. Mnóstwo różnych dziwnych rzeczy się zadziało, które zaburzyły dobrze działający globalny organizm.



– Domyślam się, że sytuacja pandemiczna i popandemiczna zburzyła wiele Pana planów.

– No tak, ponieważ moje plany oparte były na podróżowaniu. W październiku miałem jechać np. do Bhutanu. Odwołałem to prawie w ostatniej chwili. Zaraz po tym ktoś zadzwonił, czy bym nie poleciał do Patagonii na początku listopada, ale ten wyjazd, który został rok temu odwołany, w tym roku też nie doszedł do skutku. Miałem mieć kompletnie zabłądzoną jesień projektami, wrócić dopiero na początku grudnia, a okazuje się, że nigdzie nie jadę. Trudno o poważne projekty w sytuacji, kiedy trzeba je wykonywać ad hoc. Ja nie umiem tak pracować. Nigdy nie pracowałem w gazecie newsowej i chyba nie potrafiłbym. Dla mnie rytm tygodnika to już było pędzenie, a rytm miesięcznika, zwłaszcza takiego, jakim był National Geographic na początku swojego istnienia w Polsce, te dwadzieścia parę lat temu, to był system optymalny do mojego sposobu postrzegania świata. Czasem jak trzeba było zrobić



Jedna ze szczególnych fotografii Marka Arcimowicza zrobionych w Karkonoszach.

coś szybko, to wówczas miałem na to 2-3 miesiące, a jak robiłem duży projekt, to mogłem robić go pół roku lub nawet 2 lata.

– Sytuacja ostatnich kilku lat pozostawiała w Panu rodzaj zawodowego niedosytu i niemocy?

– Uważam, że zamknęło nas bezprawnie i że to była głupota. W pewnym momencie można to było tłumaczyć paniką, ostrożnością lub nadmierną ostrożnością, ale po pół roku, kiedy już statystyki były jasne, to trzeba było być słabo myślącym, żeby nie zauważyć, że sytuacja nie ma porównania do innych epidemii z historii ludzkości, jakie nas dziesiątkowały. Z hiszpanką chociażby, ale już z dżumą Justyniana na przy-

kład, zupełnie nie ma czego porównywać, skoro ona potrafiła wybić, o ile dobrze pamiętam, połowę ludności wielkiego miasta.

– Czy w tym czasie znalazł Pan w sobie przestrzeń, aby skupić się na fotografii?

– Zupełnie się nie skupiłem na fotografii i myślałem, że będę miał więcej nakrętu na działanie związane z własnymi projektami, ale ja lokalnie nie za bardzo lubię pracować, choć czasem mi się to zdarza. Ale wydaje mi się, że takie filozoficzne zdziwienie jest potrzebne. Mnie jest łatwiej uzyskać je daleko od domu, niż blisko domu. Najtrudniej by było chyba pracować tam, gdzie już od dawna nie mieszkam, tam, gdzie się urodziłem i wychowywałem. Dlatego chyba wciąż nie robiłem materiału o Wałbrzychu. Natomiast znacznie łatwiej i z większymi sukcesami pracuje mi się w miejscach, które zapierają mi dech w piersiach. Niezależnie od tego, czy to chodzi o piękno otoczenia, czy o jakąś ludzką działalność, ale to musi być coś, co mnie uderza i porusza od środka. Inaczej nie byłbym w stanie przelać tego na obraz ani na papier.

– A tutaj lokalnie w Karkonoszach co Pana porusza?

– Tutaj to raczej bym krzyczał i narobił sobie wrogów, gdybym się za dużo wypowiadał. Wiele rzeczy mi się nie podoba, ale też wiele rzeczy mi się podoba. Nie jestem malkontentem. Jestem zachwycony np. tym, że dostępne są ładowarki elektryczne. Przejeżdżałem ostatnio przez Niemcy i Francję, i się okazało, że tam nigdzie nie jestem w stanie naładować sobie elektrycznego samochodu. Podjeżdżałem do małych i większych miasteczek wielkości Karpacza czy Jeleniej Góry i ni-





gdzie nie było to możliwe. Systemów jest dużo, jakieś skomplikowane aplikacje, które w ogóle na polskim telefonie się nie ładują. A tu się po prostu parkuje, wyciąga kabel, wpina i to działa. U nas, w Jeleniej Górze jest kilka takich ładowarek i ja bym sobie życzył, żeby wszędzie tak to działało. Nie chodzi o to, żeby jakieś straszne oszczędności robić, ładując sobie samochód za darmo, ale w jakimś sensie jest to realizacja pewnej polityki, którą najróżniejsi politycy z prawa i z lewa deklarują od lat, lecz nikt nie potrafi tego wprowadzać w życie. A tutaj potrafili wprowadzić i brawa im biję. Za to jestem wdzięczny i doceniam.

– Ceni Pan Karkonosze jako miejsce do życia?

– Nasze okolice, to, co tutaj mamy dookoła Karkonoszy, jest absolutnie wyjątkowe. Jest to miejsce wyjątkowe w skali europejskiej pod wieloma względami: architektonicznym, przyrodniczym, historii geologicznej. Ale też spadek, który dostaliśmy. Taki niechciany spadek, który dostaliśmy w wyniku II wojny światowej. I co z tym zrobiliśmy? To doprowadza mnie i wielu moich kolegów do depresji, bo to jest coś strasznego. Jak można było wyburzyć starówkę i ciągle nie pociągnąć to do odpowiedzialności tych, którzy to zrobili? Zdobienia gdzieś wywieziono i one kompletnie zmurszały i się rozpadły. Zdemolowane coś, co miało wyjątkową wartość. Zupełnie bez sensu, tylko z powodów czysto politycznych.

– Podobnie Pan postrzega problem z lokalnym krajobrazem?

– Krajobraz jest bardzo fajny, tylko problem polega na tym, że on też jest w dalszym ciągu dewastowany. Mamy takie dziwne podejście do okolic Jeleniej Góry i to samo obserwuję w Wałbrzychu. Ludzie czują, jakby to było miejsce do eksploatacji, a nie miejsce do życia. Być może to wynika z tego, że jesteśmy tutaj ludnością osadzoną w sposób sztuczny i nie mamy tutaj grobów pradziadków i prapradziadków. Nie ma takiej ciągłości jak we Włoszech, w Hiszpanii czy we Francji. Kiedyś na pewnym spotkaniu w Zamku Książ miałem honor

mieć krótkie przemówienie i zadałem pytanie: ile lat potrzebuje człowiek, żeby poczuć się u siebie? Ile pokoleń musi upłynąć, żeby można było poczuć się u siebie? To jest trochę paradoks, bo z drugiej strony ja nigdy tak naprawdę nie mieszkalem na stałe w Warszawie. Tylko pomieszkowałem, ale ponieważ stamtąd wywodzi się duża część mojej rodziny, zawsze odczuwałem to miasto jako swoje miejsce. I dalej tak jest. Ja lubię Warszawę. A tu w Karkonoszach nie za bardzo się czuję u siebie, co może dziwić bardziej, bo tutaj mieszkam. Zdecydowanie jestem patriotą lokalnym i bardzo bym chciał mieć wpływ na to, co tutaj się dzieje. Ale trudno jest mieć ten wpływ i serce mi pęka, kiedy widzę, jak marnowane są pewne szanse, jakie mieliśmy, i to nieodwracalnie. Trochę jak Indianie za paciorki dewastujemy własną przyszłość.

– Czy takie refleksje miały wpływ na stworzenie u stóp Śnieżki festiwalu FotoCamp?

– FotoCamp wziął się ze zupełnie czego innego. Z poczucia, że prowincjonalność jest w nas, a ja się na to nie godzę. Ludzie uważają, że są na prowincji i wstydzą się tego. FotoCamp był pomysłem, projektem, którym chciałem udowodnić, że można zrobić coś niemal w szczerym polu, np. festiwal, na który przyjadą gwiazdy. Bo Camp66 to jest miejsce, które ma tylko prostą zabudowę kempingową, pole namiotowe i restaurację. I to wszystko. I mimo to udało się spowodować, że ludzie, którzy są laureatami World Press Photo, fotografowie o międzynarodowej sławie i reputacji, osoby z zagranicy chętnie przyjeżdżają, pokazują swoje zdjęcia. Nagle się okazuje, że to jest takie fotograficzne centrum Polski i nie tylko Polski. W Ścięgnach pod Karpaczem można to zrobić. Celowo festiwal nazwałem FotoCamp i użyłem litery „f”, a nie „ph”. Nie nazwałem tego z angielska, tylko z polska. Musiałem mieć nazwę taką, która jest łatwa do powiedzenia przez Czechów czy przez Niemców, bo bardzo bym chciał, żeby fotografowie stamtąd mocniej się włączyli w tę imprezę. Ale przede wszystkim istotne było dla mnie, żeby to był tutejszy, lokalny festiwal, a jednocześnie bez tego cholerne kompleksu prowincji, który jest jakimś absurdem.

– I jak Pan to ocenia, udało się?

Mimo tzw. pandemii podziałaliśmy. Odwołałem dopiero ostatnią, tegoroczną edycję. A tak spotykaliśmy się od 2018 roku i chyba się udało, skoro już po pierwszej edycji ustawiono nas na drugim miejscu listy fotograficznych wydarzeń roku w Polsce. W czerwcu chcemy zrobić FotoCamp 2023. Jeżeli nie zdarzą się jakieś krytyczne sytuacje polityczne, to powinno się udać.

– Nawiązując do festiwalu i tego święta fotografii, co według Pana definiuje dobre zdjęcie?

– Dobrą fotografię, żeby ją móc jakoś ocenić i zrozumieć, trzeba postrzegać trochę tak, jak język pisany. Studentom

w ten sposób to tłumaczyłem. Bo fotografia jest sposobem porozumiewania się, jest językiem. Ta analogia zawiera w sobie bardzo wiele wyjaśnień i działa wielopłaszczyznowo. To znaczy, że możemy w ten sposób określić zarówno jej wartość jako czegoś, co ma być piękne, jak i czegoś, co ma zawierać treść, jakieś nowatorskie przemyślenia, i nieść za sobą jakieś znamiona kreatywności. Jeżeli porównamy to właśnie do języka pisanego, to możemy pięknie pisać, kaligrafować, ale jeżeli to będą głupoty, nie będzie w tym żadnej treści. I co? Ktoś to będzie chciał czytać? Nie. Będzie to ładnie wyglądało, jak ćwiczenia z kaligrafii, jak ćwiczenia z techniki. Można też przepisać cudze teksty. Niezależnie od tego, czy ładnie, czy brzydko. Starać się dokładnie tak samo napisać jak ten ktoś, nawet nie tylko tę samą treść przepisać, ale nawet w ten sam sposób to zrobić. Ale to też troszkę obciach pisać cudze rzeczy, nawet starać się podszyć pod jego charakter pisma, a potem mówić, że to moje. To też nie pasuje. Ale 99 procent ludzi teraz to robi. Ja wiem, że się narażam instagramerom, ale oni są kompletnie wtórni. Kopiują jeden od drugiego i uważają, że to jest świetne i w ogóle nie ma sprawy. Kopiują cudze pomysły i tyle. I nic w tym nie ma nowego. Można napisać brzydko, ale piękne treści i to już jest chyba więcej warte. I taka fotografia też się pojawia, zrobiona niedbale, bo nie mogła być zrobiona dbale, bo jest na przykład fotografią wojenną, ale coś ważnego pokazuje. Albo jest jakimś portretem robionym ukradkiem w wyjątkowej chwili i niesie ze sobą pewną poetycką treść czy wzbudza uczucia. Może obraz nie jest doskonały technicznie, jest poruszony, zdjęcie jest niedoświetlone albo prześwietlone, albo coś jest nie tak z tym obrazem, ale jednak to zdjęcie mówi nam coś bardzo ważnego albo porusza do głębi. I ja wolę taką fotografię. Ona jest dużo więcej warta. Właśnie na tym polega wartość dobrej fotografii, żeby przekazywała albo jakąś treść, albo jakieś uczucia. Albo i to, i to.

– Biorąc pod uwagę całe archiwum Pana fotografii, ma Pan stały zestaw swoich ulubionych, ważnych zdjęć? Czy ten zestaw się zmienia?

– Trochę się to zmienia, ale jest kilka takich, które uważam za kamienie milowe w swojej działalności i są dla mnie ważne w jakimś stopniu albo bardzo ważne. Te akurat się pewnie nie zmieniają. Kiedyś tak się zastanawiałem, przeglądając zdjęcia i zauważyłem, że one bardzo często niby są zwykłymi fotografiami, ale zazwyczaj bardzo dokładnie odzwierciedlały sytuację, w której aktualnie byłem, jaką miałem w życiu. Rozwód, który miałem w 99 roku i takie wielkie otwarcie na świat, i nowa droga, która gdzieś tam się pojawiała. Albo poczucie wolności w górach, które miałem w 2002 roku, albo takie skupienie na zmysłach i pierwsze zderzenie z Azją w 1994. To też było widać bardzo mocno. I to wszystko wychodzi na zdjęciach.

– Czyli fotografia jako zwierciadło duszy?

– W jakimś sensie tak jest i na pewno odbijamy w nim siebie. W jakimś stopniu o to chodzi, na tym polega ekspresjonizm i impresjonizm. Wydaje mi się, że taka zwykła fotografia, kiedy robimy obraz i tych emocji

w nim nie zawieramy, jest bardzo nudna i płaska. Jej wielowymiarowość i wieloznaczność zaczyna się w momencie, w którym filtrujemy ją przez własne myślenie, uczuciowość itd. To tak, jak z pisaniami.

– Ma Pan poczucie, że zrobił Pan już te najlepsze zdjęcia?

– Nie wiem, czy będę w stanie zrobić takie rzeczy, jakie zrobiłem do tej pory. Myślę, że może się coś przydarzyć, ale pewnego typu fotografie w inny sposób pewnie będę robił. Może będę w stanie zrobić zdjęcia mądrzej. Nie wiem. Teraz mam taki etap oddechu i nie fotografowałem zawodowo od paru miesięcy. Miałem ciężki wypadek drogowy w kwietniu i problemy ze wzrokiem. Z tego powodu odpuściłem zupełnie i stwierdziłem, że potrzebuję teraz dystansu, przestrzeni na poukładanie pewnych spraw. Zrobiłem sobie przerwę i głód we mnie narasta. Myślę, że za chwilę znowu zacznę coś działać.



– Na blogach dla adeptów fotografii dzieli się Pan swoją wiedzą i doświadczeniem bardzo otwarcie. Odniosłam wrażenie, że nie uznaje Pan dystansu pomiędzy mistrzem i uczniem.

– Nie mam monopolu na wiedzę. Młodzi często mają zupełnie inne pomysły, nowe, świeże i to jest fajne. Mają nowe technologie, w których poruszają się znacznie lepiej niż my. Bardzo często mają zupełnie inne podejście i robią rzeczy na skrót. Oni się mogą od nas czegoś nauczyć, a my od nich. Czasem jest tak, że jednego dnia jeden jest mistrzem, a drugi uczniem, a kolejnego dnia – zmiana ról. Tu nie ma zasad. Czasem może być też tak, że komuś się wydaje, że pozjadał wszystkie rozumy i że wie wszystko. Potem okazuje się, że ta druga osoba, która jest np. starsza, dzięki doświadczeniu wie, jak pokonywać pewne problemy, nagle odblokuje takiego człowieka, który był przemądrzalcem, ale doszedł do ściany. Oczywiście bagaż doświadczenia, wiedza, ilość pracy i czas, jaki się na nią poświęciło, odpowiednio skutkują. Siłą rzeczy ci, którzy się dłużej zajmują daną dziedziną i ciężiej pracowali, mają większy zasób wiedzy i umiejętności. To jest naturalne. Ale to nie jest tak, że mają monopol, że nie mogą czegoś nauczyć się od młodych.

– Pisze Pan o fotografowaniu otwarcie, czule, emocjonalnie. Czy myślał Pan o jakiejś książce, poradniku, czymś więcej niż blogu, żeby przekazać swoje autorskie, szersze spojrzenie na tę dziedzinę sztuki?

– Jakoś nie mogę się do tego zabrać, a mam trzy zamówienia na książki. Wiem, że wiele osób walczy o to, żeby w ogóle móc sprzedać książkę gotową, ale ja ciągle nie mogę do tego usiąść. Ciągle mam wrażenie, że przecież nie mam dość zasobów, żeby mieć o czym pisać. Może teraz, po pięćdzie-

siątce nastąpi taki moment, że się przełamie. Gdy zaczynałem wykładać na uniwersytecie osiem lat temu, zastanawiałem się: czego ja mam ich uczyć, jak sam jeszcze muszę się rozwijać? Ale się okazało, że zajęcia można zrobić tak, żeby przekazywać właśnie te rzeczy, które już wiem. I jakoś poszło. I gdybym wtedy nie zaczął jeździć z Martyną Wojciechowską, pewnie kontynuowałbym tę pracę. Przestałem, bo jeden semestr byłem w stanie wyrobić. Struktura wyjazdów z Martyną była tak niestabilna, że nie mogłem ustawić zajęć ze studentami. Ciągle coś zawałałem i to były niepotrzebne nerwy dla wszystkich. Ja się z tym bardzo źle czułem i stwierdziłem, że wrócę do uczenia, jak przyjdzie na to pora. Może podobnie będzie z książką. Mam kilka pomysłów. Jeden jest o podróży, którą odbyłem, drugi o dwóch wyprawach i coś jeszcze było, jakiś pomysł o górach.

– A jakie, Pana zdaniem, nowe wyzwania stoją przed zawodowym fotografem w dobie powszechnego dostępu do telefonów z aparatami?

– Obawiam się, że fotografia znacznie się zmarginalizuje poprzez nadmierną podaż. Jeżeli czegoś jest tak bardzo dużo, że nie jesteśmy w stanie nawet ułamać z tych fotografii obeerzeć, przedrzeć się przez nie, to zaszumienie będzie powodowało zakłócenia w odbiorze i będziemy widzieć tylko częściowo pewne aspekty. Nie będziemy w stanie łatwo wyłapać tych ważnych spraw. Z drugiej strony następuje pewna blokada, nasza percepcja się osłabia i niewiele się pamięta. Myślę, że nie bez powodu lekcje w szkole trwają 45 minut. Nie bez powodu film trwa półtorej do dwóch i pół godziny. Nie bez powodu symfonia trwa tyle, ile trwa, bo taki, a nie inny jest układ naszych właściwości, naszych zmysłów, w wypadku fotografii – wzroku. Jest tego za dużo, więc nikt nie jest już zainteresowany. Jeżeli jest nadpodaż to wartość spada.

W związku z tym, jeżeli ktoś chce zajmować się fotografią zawodowo, to ma produkować rzeczy, których wartość spada na łeb na szyję i jest już darmowa. W tej chwili ludzie robią wszystko, żeby zwrócić uwagę na swoje zdjęcia, czyli dokładają dużo środków, sił, czasem pieniędzy po to, żeby być zauważonymi. To w ogóle nie ma sensu, kompletnie.

– Czyli nadchodzi schyłek, kres zawodu?

– Fotografia zawodowa jest w tej chwili na jakimś dziwnym zakręcie albo już się skończyła. Nieliczni, oczywiście, będą coś robić. Wiem, że się robi sesje świąteczne. Ludzie wynajmują mieszkanie, stawiają choinkę i przychodzą co godzinę. Zmienia się bobas. Przychodzi mama z bobasem i robi zdjęcie przy choince. Rzemieślnicza fotografia jeszcze ciągle będzie miała miejsce, dopóki tego nie załatwi sztuczna inteligencja dostępna u przeciętnego Kowalskiego na jego tablecie albo telefonie. Coraz mniej będzie tej pracy, bo załatwią ją programy, jakieś filtry, które będziemy mieli do dyspozycji w telefonie.

– Co Pan czuje, mówiąc te słowa?

– Teraz już nic, bo ja to ciężko przeżywałem od 2002 roku, kiedy nastąpiła popularyzacja automatycznych aparatów, które już ułatwiały naświetlanie analogowych błon. Ludzie, którzy mieli słabe pojęcie o technologii, robili w miarę dobrze naświetlone zdjęcia. Łatwo. Wtedy już zaczynał się problem. Gdy weszła cyfrowa fotografia, został wielokrotnie spotęgowany. A jak to się połączyło z popularyzacją internetu, to było jak wybuch prochu i żaden z tych elementów nie miałby tak destruktywnego wpływu na pracę, którą miałem, jak te dwie rzeczy naraz.

– Za kilka lat świat będzie obchodził dwusetną rocznicę pierwszych fotografii. Jak Pan ocenia ten czas w dziejach ludzkości?

– To jest ciekawy moment, bo zbiegł się z czasem, kiedy straszliwie przyspieszyliśmy, ponad granice naszych możliwości adaptacyjnych. Stąd wzrost ilości chorób cywilizacyjnych. Pomyliliśmy zupełnie sens życia. Wydaje nam się, że podstawowe prawa industrializacji, czyli więcej, szybciej i taniej, odnoszą się do wszystkich dziedzin naszego życia. Wcale nie będziemy szczęśliwsi, mając dostęp do tysięcy, zamiast do 50 czy do 100 płyt w naszej kolekcji. Dostęp do serwisów streamingowych i do kilku tysięcy czy milionów płyt nie powoduje, że mamy większą ochotę na słuchanie muzyki i ją bardziej przeżywamy. Wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że kiedyś z większą atencją traktowaliśmy płytę, którą pożyczaliśmy od kogoś znajomego. A ponieważ ona była z nami na krótko, to ją przegrywaliśmy np. na magnetofon i potem słuchało się tego jak czegoś bardzo świeżego. Bardzo dokładnie znałem na wylot wszystkie płyty, które miałem, kilkaset. A teraz to jest nie do zrobienia i może trzeba jakiegos samoograniczenia?

– A rola samej fotografii? Ten przełom, który nastąpił wraz z pierwszym zdjęciem w 1826 roku?

– Fotografia pozwoliła nam na uwiecznianie pewnych momentów. Miała swój wzlot, miała swój rozwój i teraz tak jakby się rozpyłyła w tym wszystkim, w jakiejś mgłę. Może nastąpi taki moment, w którym zdamy sobie sprawę, że ona straciła tak bardzo na znaczeniu, że zostanie fotografia czysto artystyczna, analogowa, zrobiona w jednym egzemplarzu czy w dziesięciu kopiach. Może nastąpi powrót do absolutnych korzeni. Bardzo mnie to interesuje i uważam, że to może być nasza szansa jako fotografów do tego, by zajmować się nią w jakiś sposób. Ale powrotu do czasu, żeby była znów taka ważna, jak kiedyś i żeby można było z niej dobrze i relatywnie łatwo żyć, już nie będzie. Zupełnie inne umiejętności są już potrzebne. Z fotografii nie żyją teraz naprawdę świetni fotografowie, tylko świetni marketerzy, którzy potrafią to dobrze sprzedać, posługujący się social mediami albo współczesnymi technikami marketingowymi. Technika i widzenie, które jest bardzo ważne, tracą na znaczeniu, bo nawet jeżeli ktoś ma super pomysły, to i tak one zaraz będą skopiowane, sklonowane w tysiącach egzemplarzy i na Instagramie wypłynie ta fotografia nie w oryginalnej wersji, tylko w kopii u osoby, która ma bardzo dużą oglądalność i po prostu zdepcze tego, który stworzył pomysł. Tak naprawdę sycimy wieloryby, wpuszczając nasze fotografie, te lepsze, do internetu.



Camp66 w Ściegnach w takcie jednego z festiwali FotoCamp.

– Smutna konstatacja w perspektywie przyszłej rocznicy, ale FotoCamp jako święto fotografii jest zapowiedziany i się odbędzie?

– Zobaczymy, czy to nie ostatni raz...

– Nastroje Pana są aż tak pesymistyczne?

Nie, raczej realistyczne. Wchodzi w tej chwili sztuczna inteligencja, zdolna w bardzo wielu dziedzinach fotograficznych i wokółfotograficznych wyprzeć całkowicie człowieka i techniki fotograficzne. Będziemy tworzyć obrazy z niczego, tylko z zasobów komputerowych.

– Na szczęście FotoCamp to jest ludzka energia, której nie zagraża sztuczna inteligencja.

Tak, FotoCamp to jest zupełnie co innego. Tego się nie zastąpi, tego się nie wykreuje w komputerze. Tylko ja już nie czuję takiej energii z fotografii, bo ona nie daje życia. Dopóki to funkcjonowało na gruncie zawodowym, to dawało życie. Teraz daje rozrywkę, emocje, spotkanie. Wszystko jest piękne, ale ten element zawodowy dla mnie był niezwykle ważny, bo gdybym pomagał ludziom żyć i to by się rozkręcało tak jak kula śnieżna, to oni by mieli coraz więcej zleceń i to coraz lepiej by działało. Inne perspektywy wzrostu by były. Uważam, że to będzie grupa zafascynowanych tematem ludzi. Wydarzenie trochę będzie się rozrastało, ale nie w jakimś wielkim tempie. Ale to może i dobrze, bo ten festiwal jest, jaki jest, właśnie dlatego, że my się spotykamy w kameralnym gronie, w atmosferze absolutnego bezpieczeństwa. Nic nie ginie, nikt się nie stresuje, nie ma żadnych ekscesów, pijackich bójek. Niczego takiego. Jest tylko w pełni pozytywna energia.

– Dziękuję za rozmowę

Joanna Cychol

Zdjęcia z archiwum Marka Arcimowicza



Spotkanie z Tomaszem Tomaszewskim podczas festiwalu FotoCamp.



Fot. Rafał Kotyła / UM Szklarska Poręba

Kolej na Szklarską Porębę

Narty zjazdowe, narty biegowe czy snowboard? W Szklarskiej Porębie nie trzeba wybierać. Tutaj można spróbować każdej zimowej aktywności. Szklarska Poręba przyciąga sportem i kulturą. Spróbuj białego szaleństwa na nartach lub desce, a później obejrzyj film w Kinie za Rogiem.

Do Szklarskiej Poręby najlepiej dojechać pociągiem – bezpośrednie połączenia z Wrocławia, Poznania, Warszawy czy Gdyni zdecydowanie ułatwią podróż. Widok z 4 Peronu – tarasu widokowego – zapiera dech w piersiach. Dworzec kolejowy Szklarska Poręba Górna to ważny punkt w mieście. Stąd odjeżdża Kolej Izerska na Polanę Jakuszycką – do centrum narciarstwa biegowego i Dolnośląskiego Centrum Sportu. Tu znajduje się Kino za Rogiem i sala multifunkcyjna, w której odbywają się wernisaże, koncerty i warsztaty.

Z górki na pazurki

SkiArena Szrenica w Szklarskiej Porębie to 12 km dośnieżanych tras przygotowanych do uprawiania narciarstwa zjazdowego. Koleje linowe i wyciągi narciarskie mogą przewieźć nawet 10 tysięcy osób na godzinę. Najdłuższa trasa – nartostrada Lolobrygida liczy ponad 4400 m. Najbardziej popularny i zaliczany do łatwych Puchatek umożliwia jazdy wieczorne (godz. 18-22). 6-osobowa kanapa Karkonosz Express daje niemal natychmiastowy dostęp do wyciągów orczykowych na Hali Szrenickiej i nartostrad Śnieżynka oraz Lolobrygida.

Warunki klimatyczne, porównywane do alpejskich, utrzymują grubą pokrywę śnieżną nawet do wiosny. Trasy położone na północnym stoku Szrenicy gwarantują warunki narciarskie czasem nawet do kwietnia. Kiedy temperatura powietrza sięga już kilkunastu stopni, promienie słoneczne przygrzewają – śnieg jest wciąż zmrożony.

Mniej doświadczeni narciarze znajdą doskonałe warunki do szlifowania umiejętności na mniejszych i łatwiejszych stokach z wyciągami orczykowymi: Pietkiewiczówka, W Dolinie Szczęścia, Nartolandia, Wesola Górka i Bumerang. Znajdują się one w mieście, blisko pensjonatów i hoteli, są więc łatwo dostępne.

Przy każdym ośrodku narciarskim są wypożyczalnie sprzętu, działają instruktorzy i szkoły narciarskie dla najmłodszych. Dostępna jest również górka saneczkowa. Bez kolizji z narciarzami można zjeżdżać na sankach bezpiecznie w centrum miasta przy ul. Stromej, opodal SkiAreny Szrenica.

Narty to nie żarty

To przyjemna i emocjonująca rekreacja, lecz wymagająca – zwłaszcza rozsądku. Zjeżdżając lub biegając na nartach, nie pijemy alkoholu! Pijany narciarz – to obciach. Za to nie jest nim kask na głowie. Sprzęt narciarski, zwłaszcza wypożyczony, jest bezcenny. Choć trasy narciarskie patrolują policjanci – nieupilnowany może zmienić właściciela. Lepiej temu zapobiegać. Obszar Karkonoskiego Parku Narodowego jest udostępniony do jazdy na nartach i snowboardzie wyłącznie na zorganizowanych terenach narciarskich SkiAreny Szrenica. Jazdy poza tymi trasami zabraniają przepisy. Mniemanie o własnych umiejętnościach narciarskich bywa zwodnicze. Góry nie znają litości, a braki przygotowania mszczą się surowo. Stoki zjazdowe to nie aleja bohaterów. Pomoc instruktora, rozgrzewka, rozpoczęcie zjazdów na łatwiejszej trasie przdadzą więcej splendoru niż połamane nogi.

Biegiem na biegówki

Zima to jednak nie tylko pora na narciarstwo zjazdowe i snowboardowe szaleństwo. Trasy do narciarstwa biegowego w Górach Izerskich dostępne z Jakuszyca to bez mała 100 km uprawianych ratrakami tras do biegów klasycznych i krokiem łyżwowym. Mogą z nich korzystać początkujący amatorzy, trenujący do zawodów, jak i profesjonalści doskonalący formę. Trasy tworzą spójny, złożony z wielu odcinków system, który można przebiegać w rozmaitych pętach. Do Jakuszyca – najwyżej położonego osiedla Szklarskiej Poręby, można dojechać Koleją Izerską ze stacji „Górna” lub dobiec na nartach trasami łącznikowymi z Białej Doliny. Na miejscu wypożyczalnie, serwisy sprzętu oraz profesjonalni instruktorzy dopełniają ofertę.

Ukoronowaniem sezonu zimowego w Szklarskiej Porębie jest Festiwal Narciarstwa Biegowego Bieg Piastów – największe w tej części Europy zawody biegowe. To prawdziwe, między-



Fot. Radosław Pelisiak

Izerskie trasy biegowe zachwycają wszystkich.

narodowe święto narciarzy biegowych. Przed nami 47. edycja zawodów. Bieg Piastów jako jedyny polski maraton narciarski – obok długodystansowych biegów z Europy, Azji i obu Ameryk – należy do Worldloppet – Światowej Federacji Narciarskich Biegów Długodystansowych.

Ogromnym atutem Szklarskiej Poręby, poza położeniem, jest czyste powietrze (miasto znajduje się w krajowej czołówce) i wyjątkowe warunki klimatyczne, podobne do najlepszych kurortów alpejskich. To sprawia, że Szklarska Poręba jest znakomitą miejscem na zimowy wypoczynek.

Bieg Piastów jest dziś wielkim festiwalem narciarstwa biegowego.



Fot. Ultra Lovers / Bieg Piastów

Dla kogo Polana Jakuszycka?

Ten niezwykle zakątek Gór Izerskich od wielu lat uchodzi za miejsce wręcz kultowe. Zimą ściągają tu miłośnicy narciarstwa biegowego, latem – entuzjaści nordic walking, jazdy na rowerach górskich, biegacze, wędrowcy... Jednak rosnąca z roku na rok popularność Polany Jakuszyckiej prowadzi również do zwariowanych niekiedy utarczek i konfliktów pomiędzy turystami, których pomysły na poruszanie się po jakuszyckich szlakach kolidują ze sobą, i to niekiedy ostro, zwłaszcza w zimie.



Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów

– Świat się kończy! Żeby na trasie narciarstwa biegowego trafić na takie niespodzianki? No proszę popatrzeć – cała narta utyłana. O tam, widzi pani, poszli sobie z pieskiem na spacer, a posprzątać nie ma komu – żali się pan Tomasz z Wrocławia, wariat na punkcie biegania na nartach, jak sam siebie określa. Czyha na każdą okazję, by wyrwać się do Jakuszyck. Biega tu od wielu lat, i to zarówno zimą – na biegówkach oczywiście – jak i latem. Tyle że, od kiedy sława Polany Jakuszyckiej jako najbardziej zaśnieżonego miejsca w kraju rozniosła się po całej Polsce, pan Tomasz i jemu podobni pasjonaci nart biegowych spotykają się z zachowaniami niemięszącymi się w głowie.

– Całymi rodzinami chodzą po trasach narciarskich, na całej ich szerokości, zdeptują tory do klasyka – biegacz wylicza przewiny pieszych. – Trzeba uważać na sanki z dziećmi, pieski... A przecież na zjeździe osiągam znaczną niekiedy prędkość! Co będzie, jak dzieciak wejdzie mi prosto pod narty, a ja nie zdołam wyhamować?

Wypowiedź wrocławianina reprezentuje opinie wielu narciarzy biegowych, którzy od wielu lat przyjeżdżają każdej zimy na Polanę Jakuszycką, gdyż zawsze znajdują tu śnieg i świetnie utrzymane, ratrakowane trasy. Tylko że od ładnych kilku lat muszą mierzyć się z problemem... ruchu pieszego na ulubionych szlakach. – Ciekawe, że nikomu nie przychodzi do głowy chodzić po stokach do narciarstwa zjazdowego – kończy swe żale pan Tomasz. – A tu, gdzie w miarę płasko – tłumy.

Rozmawiając z pieszymi

Państwo Górniccy przyjechali ze Skierniewic. Rodzina – mama, tato, dwójka synów: 4 – i 6-latek oraz babcia z dziadkiem – pierwszy raz zawitała do Szklarskiej Poręby. A że tam ze śniegiem krucho, a z kolei w Skierniewicach biały puch spada raz na kilka lat, więc gdy posłyszeli, że w Jakuszyckach zima w całej pełni, przybyli tu – z dziećmi, z saneczkami. W końcu trzeba chłopcom pokazać, jak wygląda świat pod metrową pokrywą śniegu. Oczywiście weszli na dawny czer-

wony szlak z Jakuszyck do Osady Orle, czyli tzw. Samolot, zimą przeznaczony wyłącznie dla narciarzy.

Kiedy jednak tłumaczę, że szlak ten jest zamknięty dla ruchu pieszego, a jeszcze pokazuję tablice informujące o tym, skierowanie grzecznie wycofują się, przepaszając za gapio-stwo i pytając, któredy w takim razie mogliby powędrować, aby trochę tej górskiej zimy jednak zażyć i nikomu przy tym nie przeszkadzać.

Doradzam spacer tzw. obwodnicą jakuszycką. Nieratrakowa-ny szlak biegnie po stronie karkonoskiej drogi E-65, wokół wzgórza Kocierz. Trasa cicha, spokojna, niezbyt forsowna, a można nacieszyć oczy leśnym, zaśnieżonym krajobrazem, dzieci na sankach powozić...

Nie zawsze bywa tak przyjemnie. Kolejna grupka pieszych – czworo dorosłych i piątka dzieci – też wybrała się na spacer przez ów Samolot, gdzie narciarze dosłownie śmigają. Wyjaśnienie, że nie powinni tu spacerować, bo stanowią zagrożenie i sami dla siebie, i dla narciarzy, kwitują butnie: – Nam się tu podoba i nikt nie zabroni nam spacerować. A narciarze mają uważać, bo jesteśmy z dziećmi!

Wskutek takich postaw niejednokrotnie dochodziło do jakuszyckich trasach do awantur, a nawet – rękoczynów czy też raczej... kijekoczynów, bo u co bardziej krewkich biegaczy w ruch szły kijki. Najgorsza sytuacja zazwyczaj panuje w okresie świąteczno-noworocznym, kiedy w krótkim stosunkowo czasie kumulują się potężny ruch turystyczny – pod koniec roku 2019 zawitały do Jakuszyck, zwabione wieściami o awanturach na Polanie, ekipy największych, ogólnopolskich stacji telewizyjnych: TVN, TVP i Polsatu. – Wyemitowane wtedy programy wpłynęły na świadomość ludzi – przekonują przedstawiciele Stowarzyszenia Bieg Piastów. – Pokazano, że agresja na szlakach jest najgorszym rozwiązaniem. A przecież istnieje mnóstwo innych.



Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów

Stowarzyszenie Bieg Piastów postawiło na szeroko rozumianą informację i edukację: – Rozmieściliśmy wiele tablic informacyjnych, jasno komunikujących zasady poruszania się na trasach narciarskich – relacjonują jego członkowie. – Spokojnie tłumaczymy pieszym, jakie zagrożenia czyhają na nich tam, gdzie poruszają się, niejednokrotnie z dużą prędkością, narciarze. Idealne pogodzenie biegaczy i pieszych jest oczywiście trudne, lecz jeśli obie te grupy będą wzajemnie szanować się, zaowocuje to wspaniałą atmosferą na izerskich szlakach.

Trzeba również zaznaczyć, że problem pieszych na trasach narciarskich ma wymiar ekonomiczny – szlaki te były z mozołem budowane przez prawie pół wieku, a ich utrzymanie kosztuje, i to niemało! W poprzednich sezonach zimowych koszt przygotowania 1 km wynosił 350-400 zł (całość tras to 88 km). W nadchodzącym sezonie cena ta może wzrosnąć nawet 2-krotnie, a składa się na nią koszt paliwa do ratraków, praca tych urządzeń i oczywiście praca ludzi. Na ratrakowanych trasach zakładane są tory do biegania stylem klasycznym, a środek przeznaczony jest zazwyczaj dla narciarzy poruszających się tzw. tyżwą, znacznie szybciej i bardziej dynamicznie. Grupa pieszych, zwłaszcza idących całą szerokością trasy, nie tylko rozdeptuje tory do „klasyka”, ale też stwarza niebezpieczeństwo kolizji, podczas której poważnie mogą ucierpieć i piesi, i narciarze.

W sporach między narciarzami i pieszymi na Polanie Jakuszyckiej istotny jest głos Nadleśnictwa Szklarska Poręba, w imieniu państwa administrującego tym terenem. Leśnicy stwierdzili, że użytkownicy Polany Jakuszyckiej po prostu muszą się dogadać i szanować wzajemnie. Żadnych strażników zakazujących wstępu pieszym na trasy (a domagali się tego niektórzy narciarze) nie będzie.



Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów

Oferta dla turystów pieszych

Ona istnieje i jest na dodatek bardzo atrakcyjna. Oprócz wspomnianego już szlaku wokół wzgórza Kocierz, piesi mogą wybrać się na spacer z Jakuszyca zielonym szlakiem w kierunku Hali Szrenickiej – wejście nań znajduje się przy jakuszyckiej leśniczówce, oczywiście też po stronie karkonoskiej.

Entuzjaści spacerów po stronie izerskiej, którzy chcą pieszo dojść do stacji turystycznej Orle, mają do dyspozycji drogę zwaną Spacerową, zważając jednak, że muszą ją dzielić z narciarzami – szlak jest ratrakowany, po obu jego stronach znajdują się tory do „klasyka”, a dla ruchu pieszego przeznaczono środek, co z kolei zobowiązuje narciarzy, by nie biegali tam „łyżwą”. Inne możliwości pieszego spaceru w Górach Izerskich to droga wiodąca od Zakrętu Śmierci pod Wysoki Kamień lub ścieżka przez tzw. Świńskie Dziury – wejście na ten szlak znajduje się tuż przy granicy polsko-czeskiej, po prawej stronie drogi E-65, jadąc w kierunku Czech.

Piękne zakątki mają też dla siebie entuzjaści zjazdów na sankach. Od 3 lat można zjeżdżać na dawnym stoku narciarskim, zwanym „Wiciarką”, znajdującym się po prawej stronie drogi ze Szklarskiej Poręby do Jakuszyca (z zatoczką parkingową). Do saneczkowania nadaje się również stok „Babiniec” (po lewej stronie drogi E-65 w kierunku Jakuszyca), z dużym parkingiem.

Trasy dla biegaczy – mniej znane, bardziej atrakcyjne...

– Problem sporów między narciarzami a pieszymi wynika z faktu, że i jedni, i drudzy masowo okupują tylko niektóre jakuszyckie trasy – podkreślają działacze Biegu Piastów. – Należy do nich oczywiście Samolot, czyli dawny czerwony szlak z Jakuszyca do Stacji Turystycznej Orle, a także Górny Dukt Końskiej Jamy, czyli szlak zielony z Jakuszyca na Rozdroże pod Cichą Równią. Apelujemy więc nie tylko do pieszych, ale i do narciarzy: odkrywajcie inne, mniej znane, a bardzo atrakcyjne ścieżki!

Są wśród nich istne perełki, jak np. trasy Inhalacyjna czy Herberta, odchodzące z Rozdroża pod Działem Izerskim, czyli od trasy Spacerowej z Jakuszyca na Orle. Spokojne, puste i ciche, a niesłychanie malownicze są takie trasy, jak szlak z Walońskiego Kamienia w kierunku Czerwonych Skałek oraz trasy o zadziwiających nazwach: Niematematyczna i... Dzielne Klapki.

Zasady dla biegaczy, zasady dla wszystkich

Oprócz wzajemnego poszanowania, użytkowników izerskiego raju narciarskiego obowiązują też inne zasady. I tak – biegajmy prawą stroną. Gdy biegniemy grupą, poruszajmy się gęsiego. Pamiętajmy, by na trasie było miejsce dla biegących z naprzeciwka oraz wyprzedzających.

Środkowa część trasy, pomiędzy torami do klasyka, przeznaczona jest dla biegających łyżwą, którzy potrzebują więcej przestrzeni, a poruszają się szybciej niż biegający klasycznie. „Łyżwiarzom” zaś przypomnijmy raz jeszcze, aby środek trasy Spacerowej do Orle pozostawili pieszym.

Wyprzedzając, zachowujmy się podobnie, jak przy wyprzedzaniu samochodem – zanim rozpoczniemy ten manewr, upewnijmy się, czy nikt nie nadbiega z naprzeciwka i czy nikt nie wyprzedza nas. A gdy znajdziemy się już przed osobą wyprzedzaną, nie wskakujmy na tor tuż przed nią, lecz zachowajmy bezpieczny odstęp.

Gdy ktoś nas wyprzedza, nie przyspieszajmy. Pozwólmy mu bezpiecznie wskoczyć do torów, a w razie potrzeby – nawet zwolnijmy.

Nie przystawajmy w torach do biegania! Jeśli chcemy odpocząć, zrobić zdjęcie, pogadać z towarzyszami, zachwycić się światem – wyjdźmy z torów, najlepiej na prawą stronę. Stanie w torach nie tylko utrudnia poruszanie się innym narciarzom, ale może też być bardzo niebezpieczne, jeśli robimy to na zjazdach i odcinkach tuż po nich. Rozpędzeni narciarze mogą nas po prostu staranować!



Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów

Respektujmy oznakowania. Jeśli trasa jest jednokierunkowa, nie wchodzimy na nią pod prąd! Pamiętajmy też, że jednokierunkowe trasy zwykle są wąskie i trudne technicznie, zastanówmy się więc, czy starczy nam umiejętności, by taką trasę pokonać.

Wszystkich – i narciarzy, i pieszych – obowiązuje zakaz śmiecenia. Zasada brzmi: co wnosimy, także wynosimy. Jeśli ktoś chce palić papierosa, niech znajdzie sobie inne miejsce – w góry przyjeżdża się m.in. oddychać czystym powietrzem. Nie pijemy alkoholu do upojenia – widok pijanych, hałasujących turystów na szlakach jest bardzo przykry. Góry kochają ciszę, a Góry Izerskie są na dodatek siedliskiem tak rzadkich i płochliwych zwierząt, jak np. wilki i rysie.

A co z psami?

Na spacer z nimi wybierzmy się na opisane powyżej szlaki dla pieszych. Trasy te nadają się również do biegania z tymi czworonogami. Bieganie z psami na trasach dla narciarzy jest niebezpieczne – łatwo może dojść do kolizji. W trosce o przyrodę, dzikie zwierzęta i naszego czworonożnego towarzysza pamiętajmy, by prowadzić go na smyczy, a także... posprzątać po nim.

Ewa Kiraga-Wójcik

Fot. Karolina Krawczyk / Bieg Piastów
Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów



Fot. Dominik Kalamus / Bieg Piastów

Oblicza górskiej zimy – urzekające i... groźne



Górska zima urzeka. Urzeka nie tylko wtedy, gdy siedząc przy oknie, w ciepłym wnętrzu domu, pokoju hotelowego czy schroniska, obserwujemy wirujące i spadające na ziemię płatki śniegu. Miłośnicy zimowej aktywności na świeżym powietrzu – wędrowcy, narciarze, entuzjaści skiturów lub rakiet śnieżnych – doświadczają niezwykłych wrażeń: niepowtarzalnego kontrastu bieli śniegu i błękitu nieba w słoneczny zimowy dzień, a także doznania rzeźkości i swoistej czystości świata, które daje kolor i... zapach śniegu.

Niestety, górska zima bywa groźna, i to nawet w słoneczny dzień, na zdawałoby się w pełni bezpiecznym, oznakowanym szlaku lub stoku narciarskim. Odbijające się od bieli śniegu promienie słońca mogą spowodować tzw. olśnienie, skutkujące czasową utratą, a nawet trwałym uszkodzeniem wzroku, jeśli nie zabezpieczymy oczu porządnymi okularami przeciwsłonecznymi albo goglami. Jest to też przyczyna poparzeń skóry, nawet drugiego stopnia. Są i inne, znacznie groźniejsze niebezpieczeństwa.

Zabójczy śnieg

Podczas zimowych wędrówek wierzchowiną Karkonoszy trzeba strzec się wejścia na nawisy śnieżne! Zbocza naszych gór, a szczególnie ich stoki północne, po polskiej stronie, podcięte są licznymi kotłami polodowcowymi, przybierającymi postać albo w pełni uformowanych tzw. cyrków polodowcowych (najlepszy przykład to Wielki Kocioł Małego Stawu we wschodniej części Karkonoszy), albo nisz niwalnych, jak np. owiany złą sławą Biały Jar na zboczu Kopy. Wierzchowina Karkonoszy, na skutek procesów geologiczno-klimatycznych sprzed milionów lat, jest prawie płaska. Wiejące tu, przeważnie południowo-zachodnie wiatry swobodnie więc przemieszczają potężne masy śniegu i deponują je, w postaci olbrzymich nawisów, na krawędziach kotłów polodowcowych. Wędrowiec, wchodzący na taki nawis, nie zdaje sobie sprawy, że warstwa pozornie stabilnego śniegu może mieć jedynie kilkanaście, góra – kilkadziesiąt centymetrów grubości, a pod nią kryje się przepaść o głębokości liczonej w setkach metrów! Upadek w taką głębię kończy się śmiercią albo ciężkimi obrażeniami.

Dbające o bezpieczeństwo zimowych turystów służby Karkonoskiego Parku Narodowego, w porozumieniu z ratownikami GOPR-u korygują w zimie przebieg szlaków turystycznych tak, aby „odsunąć” je od niebezpiecznych krawędzi kotłów. Ze 100-procentową pewnością unikniemy niebezpieczeństwa wejścia na nawis śnieżny, jeśli będziemy poruszać się zgodnie z oznakowaniem – w kopnym śniegu bezpieczny przebieg szlaku wyznaczają charakterystyczne tyczki. Tylko że... nieodpowiedzialne zachowanie, nawet pomimo starannego oznakowania, doprowadziło już do tragedii.

Przed dwudziestu laty doszło do śmiertelnego wypadku wskutek wejścia na niestabilny nawis śnieżny nad Wielkim Śnieżnym Kotłem. Grupa turystów, którzy wypoczywali w Szklarskiej Porębie, korzystając ze słonecznej pogody, doszła w rejon Śnieżnych Kotłów. Tam postanowili zrobić efektowne zdjęcia. Jedna z turystek, pozując, zlekceważyła oznakowania i weszła na nawis śnieżny, który rozsypał się pod jej ciężarem. Zginęła w wyniku upadku z około 200-metrowej wysokości.

Schodzi lawina

Jeszcze większe niebezpieczeństwo powodowane przez nawisy śnieżne to lawiny. Gdy masa śniegu w nawisie przekroczy wartość krytyczną, gwałtownie, w niekontrolowany sposób schodzi w dół stoku. Biada temu, kto znajdzie się na jej drodze!

Co może spowodować lawinę? Najróżniejsze czynniki – podmuch wiatru, fala akustyczna wywołana wrzaskiem, nawoływaniem czy śpiewem, nieodpowiedzialny narciarz, który postanowił „podciąć” nawis... Lawina może też zejść samoistnie, gdy w nawisie, pod wpływem wciąż nawiewanego śniegu, dojdzie do przemieszczenia środka ciężkości.



W Karkonoszach, zimą oraz na przedwiośniu, schodzi nawet kilkadziesiąt lawin różnej wielkości – od kilkutonowych po lawiny-potwory, w których masę śniegu szacuje się w tysiącach ton! Lecz uniknięcie śmierci w lawinie jest... dziecinnie proste. Wystarczy respektować oznakowania i nie wchodzić na zamknięte szlaki. Ratownicy GOPR oraz pracownicy KPN już w listopadzie zamykają wszystkie szlaki, gdzie mogą zejść lawiny – przede wszystkim te, które wiodą przez kotły polodowcowe. Jeśli więc podczas górskich wędrówek napotkamy szlaban zamykający szlak, znak czarno-żółtej szachownicy oraz napis: „Niebezpieczeństwo lawin!”, NIE IDŹMY DALEJ TĄ DROGĄ. Tyle wystarczy, by zachować życie i zdrowie.

Aby uświadomić sobie, co może się stać, jeśli zlekceważymy ostrzeżenia przed lawinami, przeczytajmy tekst pt. „Największa tragedia w historii polskich gór”. Zdarzyła się ona tutaj, w Karkonoszach, prawie 55 lat temu, lecz pamięć o niej, jej ofiarach i niosących im ofiarną pomoc ratownikach jest wciąż żywa.

Czy gór w zimie należy się bać?

Oczywiście, że tak. Jednak bojąc się, a właściwie – respektując wszystkie niebezpieczeństwa i zagrożenia związane z zimową, górską wędrówką, można spokojnie korzystać z urzekającego uroku górskiej zimy. O czym trzeba jednak pamiętać?

„Mierz zamiar podług sił”, czyli – dostosujmy trasę wędrówki do swej kondycji i swych możliwości psychofizycznych. Zimą wędruje się wolniej! Zimowy dzień jest krótki, w grudniu i w styczniu nawet bardzo krótki, a stara dobra zasada turystyczna głosi, że po zachodzie słońca trzeba się znaleźć pod dachem – schroniska czy miejsca, gdzie kwatrujemy.

Starannie przygotujmy się do wędrówki. Przestudiujmy mapę – oszacujmy różnicę wysokości, jaką przyjdzie nam pokonać, zapoznajmy się z cza-





sem przejścia i... przemnożmy go przez dwa pamiętając, że będziemy się poruszali w kopnym śniegu. I pomyślimy, czy mamy wystarczającą kondycję, by pokonać zakładaną trasę. Sprawdźmy też, czy szlak, który chcemy przemierzyć, nie został na zimę zamknięty – listę takich szlaków znajdziemy na stronie Karkonoskiego Parku Narodowego. Zakazu wejścia na zamknięty szlak należy bezwzględnie przestrzegać! Nie należy również schodzić z oznakowanego szlaku, choćby kuśił potencjalnym zdjęciem najpiękniejszy nawet zimowy pejzaż.

Zapoznajmy się z prognozą pogody, korzystając z wybranego portalu pogodowego. Nie kierujmy się tym, co widzimy z okna hotelu! Karkonosze słyną z kontrastów pogodowych – bywają dni, gdy w dolinach jest słonecznie, cicho i spokojnie, a na Śnieżce czy na Szrenicy „wszystkie diabły tańczą”, jak to określają tutejsi przewodnicy górscy. Góry te słyną też z szybkiej zmienności stanów pogodowych – bywa, że w dniu, który zaczyna się ostrym słońcem i nieskalanie błękitnym niebem, około południa następuje załamanie pogody. Wtedy na szlaku może zaskoczyć nas zawieja śnieżna, zagrażająca wędrowcom utratą orientacji, a w konsekwencji – zamrożeniem. Pamiętajmy też, że Karkonosze są najbardziej wietrznym obszarem w Polsce. Wiatry na ich szczytach nieraz wieją z siłą huraganu.

Idźmy w góry odpowiednio wyposażeni. Naładowany telefon komórkowy powinien zawierać numery alarmowe GOPR: 601 100 300 oraz 985, a także aplikację „Na ratunek”. Do plecaka zabierzmy termos z ciepłym napojem, batony energetyczne lub kanapki, tabliczkę gorzkiej czekolady, okulary przeciwsłoneczne, latarkę (najlepiej czołówkę), mapę terenu (papierową; GPS może zawieść) oraz dodatkową ciepłą odzież – czapkę, rękawiczki, a także nieprzemakalną, chroniącą od wiatru kurtkę.

W miejscu zakwaterowania zostawmy wiadomość, dokąd się wybieramy, jaką trasę i o której orientacyjnie zamierzamy powrócić. Jeśli powrót przedłuża się do późna, gdyż postanowiliśmy odwiedzić znajomych czy zasiedzieliśmy się w restauracji – zadbajmy o powiadomienie, że z nami wszystko w porządku. Wiele było niepotrzebnych akcji GOPR-u, kiedy ratownicy z narażeniem życia poszukiwali turystów w górach, a ci w tym czasie... biesiadowali w restauracjach Karpacza czy Szklarskiej Poręby.

Ewa Kiraga-Wójcik

Zdjęcia: Grzegorz Truchanowicz

2/2022

z krainy ducha gór



Największa tragedia w historii polskich gór

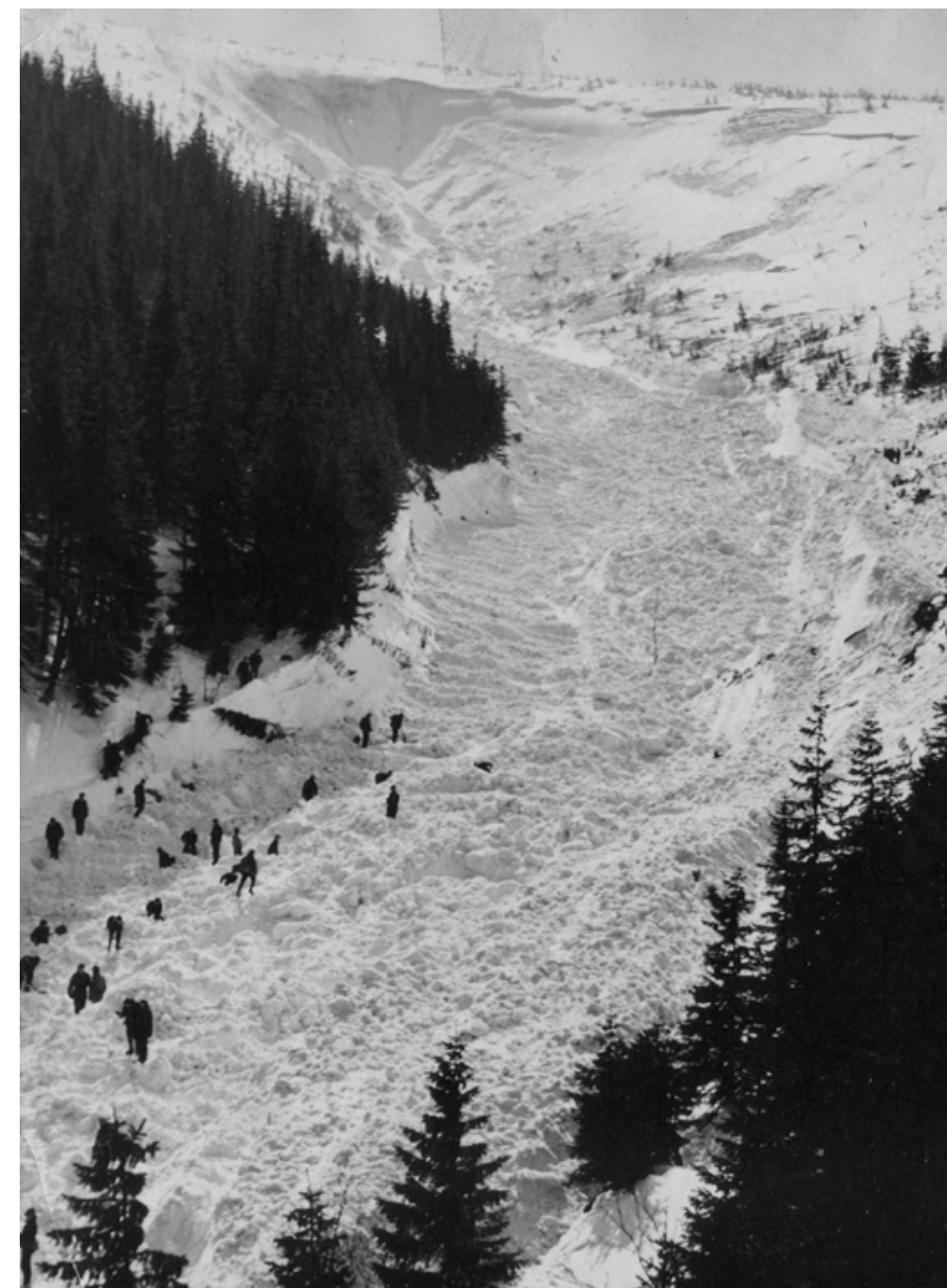
Zdarzyła się nie w Tatrach, nie w Beskidach, lecz w Karkonoszach – górach uważanych za „spacerowe”, gdzie, według niektórych, do niczego złego nie może dojść. Tragedia owa przybrała postać potwornej lawiny śnieżnej, pod którą zginęło 19 osób, a 5 zostało ciężko rannych. Doszło do niej 20 marca 1968 r.

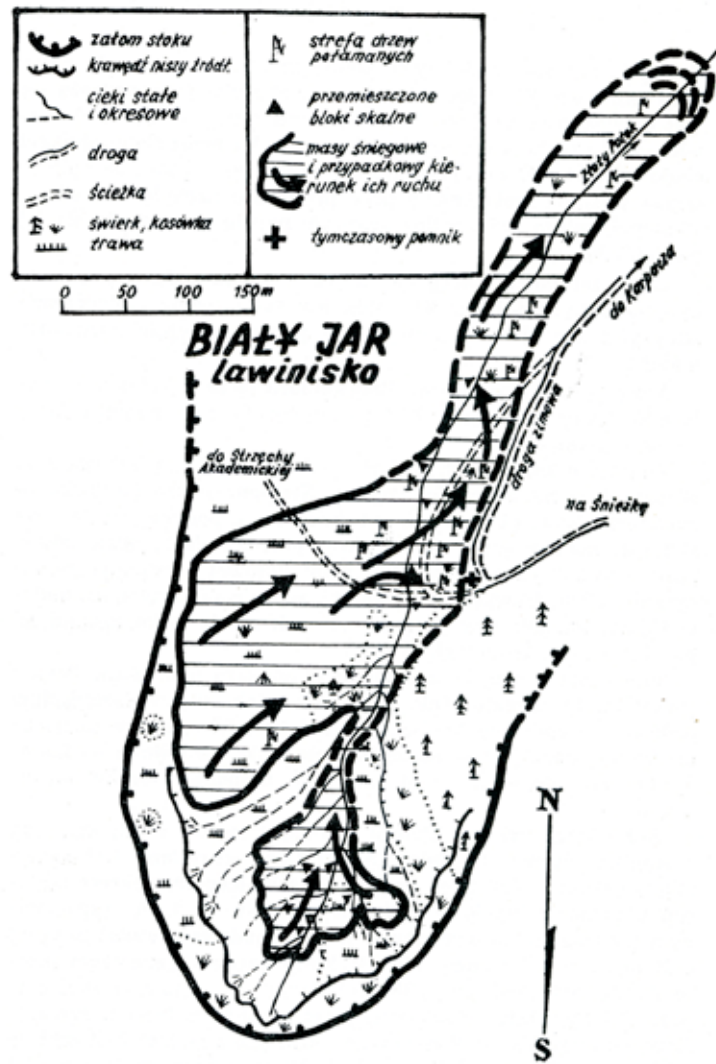
Ten dzień zapisał się we wspomnieniach jako słoneczny i... dość ciepły. W Karpaczu, Szklarskiej Porębie oraz innych karkonoskich miejscowościach turystycznych goście spacerowali, zażywali kąpeli słonecznych, a co młodsi i bardziej zapalcywi wybierali się w góry. Tyle tylko, że na wierzchołkach i zboczach Karkonoszy panowały warunki wybitnie niesprzyjające górskim wędrownikom. Zalegała tam masa śniegu, który świeżo spadł na twarde, zlodowaciałe podłoże. Patrząc na Karkonosze z dolin, można było dostrzec unoszące się raz po raz nad wierzchołkami białe pióropusze – nieomylny symptom silnego wiatru podrywającego śnieżny puch. Wichura przybierała na sile, więc szefostwo kolei linowej z Karpacza na Kopę zdecydowało o jej zatrzymaniu. Zbliżała się godzina 11.

W ośrodku wypoczynkowym „Juventuru” w Karpaczu kwaterowała zorganizowana grupa młodych w większości Rosjan. Byli to pracownicy zakładów przemysłowych z Syzrania, Kujbyszewa i Usole. W grupie przeważały kobiety. Zwiedzali Polskę, przybywszy do naszego kraju tzw. Pociągami Przyjaźni. Na program pobytu w Karkonoszach składały się dwie wycieczki: 19 marca 1968 r. gościli na Zamku Chojnik i przy wodospadach w Szklarskiej Porębie (przewodnik sudecki Marek Wikorejczyk zrobił ostatnie, jak się później okazało, zdjęcie Rosjanom, na tle wodospadu Szklarki), a następnego dnia planowany był wjazd koleją linową na Kopę. Stamtąd Rosjanie mieli iść na Śnieżkę.

Kiedy grupa przybyła pod dolną stację kolei linowej na Kopę, około 9 rano, dowiedzieli się, że wskutek silnego wiatru wyciąg nie kursuje. Zapadła wtedy, podjęta nie wiadomo przez kogo, fatalna decyzja, by na Kopę powędrować pieszo, przebiegającym tuż obok dolnej stacji wyciągu czarnym szlakiem – tzw. Śląską Drogą. Szlak ten, znany od średniowiecza, wiedzie po zboczu Kopy na wierzchołek Karkonoszy. Idąc nim, trzeba przejść

przez Białą Jar – miejsce owiane ponurą sławą ze względu na dużą ilość schodzących tam lawin. W 1927 r. w Białym Jarze zginął w lawinie przewodnik górski, podążający Śląską Drogą z Karpacza w góry.





Grupa na czarnym szlaku liczyła w sumie 24 osoby – 14 Rosjan, do których dołączyło 6 obywateli Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz 4 Polaków. Na czele szedł Polak – 27-letni Stefan Wawreniuk z Warszawy, pilotujący grupę z ZSRR, który zdecydował się poprowadzić podopiecznych w góry, gdyż miejscowy przewodnik – Marek Wikorejczyk – stanowczo odmówił przewodnictwa w tak niebezpiecznych warunkach i do końca przekonywał Rosjan, by zaniechali swych planów.

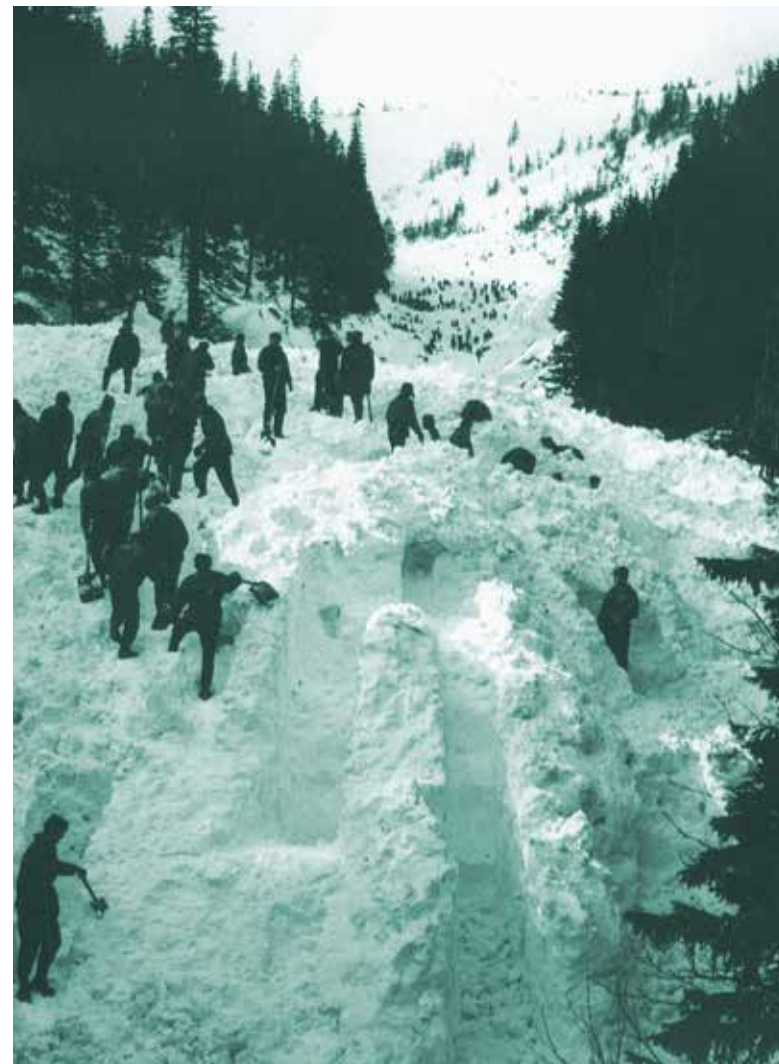
Parę minut po godzinie 11. ze zboczy Białego Jaru ruszyły w dół zewnętrzne, luźne masy śniegu. Pociągnięty za sobą załęgający głębiej, twardy, złodowaciały śnieg. Z ogłuszającym hukiem i łoskotem 150 tys. ton śniegu i lodu runęło w koryto wypływającego z Białego Jaru Złotego Potoku, wzdłuż którego wiedzie Śląska Droga. Lawina, niszcząc wszystko, co napotkała na swej drodze, po około 50 sekundach zatrzymała się kilometr niżej.

Dochodzący do wylotu Białego Jaru ludzie byli bez szans. Śmierć nadeszła z prędkością około 100 km na godzinę. Szerokość lawiny wynosiła od 25 do 70 metrów, a jej „czoło” liczyło ponad 15 metrów wysokości. Wędrowcy ginęli, przywa-

leni śniegiem, lodem i porwanymi przez lawinę gałkami; dusili się też wypełniającym drogi oddechowe śniegiem.

Choć może się to wydać niewiarygodne, 5 osób ocalało. Byli to ci, którzy szli na końcu rozciągniętej grupy, a od czasu do czasu schodzili ze szlaku w las. Tak zapamiętał straszne chwile Władimir Fadiejew z Kujbyszewa: „Stałem trochę z boku szlaku. Nagle poczułem silne uderzenie w głowę i plecy. Coś poniosło mnie i powlokło 100 czy 150 metrów, zdarło ze mnie czapkę, kurtkę, buty, uderzało mną o drzewa. Czepiałem się tych drzew, krzychałem, ale nikogo już nie było! Potem był tobogan, karetka i szpital. Nikogo z kolegów, z którymi szedłem, już nie zobaczyłem”.

Akcja ratunkowa ruszyła natychmiast po zejściu lawiny. Tragedię dostrzeżono z górnej stacji kolei linowej. Zbigniew Pawłowski, kierownik wyciągu, uruchomił go, by szybko dotrzeć z kolegami i grupą doświadczonych turystów na lawinisko. Kogo mógł, zwołał Waldemar Siemaszko ze schroniska „Samotnia” i też ruszył ze swą ekipą na lawinisko, by dowodzić tam początkową fazą akcji. Dzięki pracy tych ludzi gór udało się szybko odkopać spod śniegu i uratować życie 5 osobom – w tej liczbie Wowie Fadiejewowi. W późniejszej fazie dowództwo przejął naczelnik Grupy Karkonoskiej GOPR, Stanisław Kiezuń. Stację centralną GOPR w Jeleniej Górze powiadomił ratownik Ryszard Jaśko, dyżurujący tego dnia na posterunku w dolnej stacji wyciągu na Kopę.



55 lat temu nie istniał internet ani telefonia komórkowa, a telefony stacjonarne dostępne były nielicznym. Jednak ówczesny GOPR, a także milicja i wojsko, nawet w takich warunkach mieli na tyle skuteczny sposób powiadamiania i działania, że po paru godzinach na lawinisku pracowała już kilkusetosobowa grupa – oprócz ratowników górskich i milicjantów śnieg przekopywało także wojsko, gdyż z Oficerskiej Szkoły Radiotechnicznej z Jeleniej Góry przyjechało 500 podchorążych i elewów. W akcji uczestniczyli również żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza z górskich strażnic. Lekarka z Karpacza, Jadwiga Klamut, ratowniczką GOPR, przerwała pracę w przychodni i pojechała na lawinisko. Pozostała tam jako ratowniczką i lekarką nieprzerwanie przez 3 doby.

Na lawinisku część ludzi przekopywała środkową jego część głębokimi rowami, a inni sondowali śnieg specjalnymi prętami. Późnym popołudniem przybyła ekipa czeskosłowackiej Horskiej Służby. Wśród ratowników czeskich był Bohumil Hofman, którego polscy ratownicy 2 lata wcześniej uratowali spod lawiny w Kotle Łomnicki: „Mam tu dług do spłacenia” – stwierdził Czech i zaciekle wziął się do pracy.

Czesi przywieźli ze sobą psa lawinowego. Psi nos radykalnie ułatwił pracę, gdyż dobrze wyszkolony pies jest w stanie w ciągu godziny przebadac teren, na który ludziom potrzebna jest doba. Niestety, odszukani dzięki psu ludzie nie dawali już oznak życia.

Tymczasem szybko zapadł zmrok i przyszła noc. Sytuacja stała się dramatyczna, gdyż samym ratownikom zagrażał potężny nawis śniegu. Mimo to pracowali nieprzerwanie, a wojsko zainstalowało kabel elektryczny do oświetlenia lawiniska. Żołnierze z 18 Karkonoskiego Pułku Obrony Przeciwlotniczej, używając działka bezodrzutowego, usiłowali odstrzelić formujący się nad Białym Jarem, śnieżny nawis.

Pod koniec pierwszej doby znaleziono 10 ciał. 21 marca wykopano 1 ofiarę śmiertelną, następnego dnia – 5. 23 marca, po wykopaniu kolejnych zwłok, coraz gorsze warunki atmosferyczne zmusiły ratowników do opuszczenia lawiniska. Akcja ratunkowa trwała nieprzerwanie od 11.15 20 marca do 18. 23 marca 1968 r. Na lawinisku pracowało w sumie około 1100 osób. Ostatnie 2 ofiary wydobyto spod śniegu dopiero 1 i 5 kwietnia.

Po tragedii postawiono w Białym Jarze skromny, granitowy obelisk, upamiętniający ofiary. Nie przetrwał. W 1974 r. zmiotła go potężna lawina śnieżna, schodząca ze zboczy Białego Jaru. Obecnie tragedię sprzed prawie 55 lat upamiętnia tablica przymocowana do skał latem 2018 roku. Jest to również pamiątka kolejnej tragedii w złowrogim Białym Jarze – 20 marca 2008 r. w lawinie poniósł śmierć przewodnik górski i instruktor narciarstwa z Jeleniej Góry.

Ewa Kiraga-Wójcik

Zdjęcia i rysunek z archiwum Grupy Karkonoskiej GOPR



Fot. UM Szklarska Poręba

rezerwacyjnych. Podczas weekendów listopadowych, na przykład, Karpacz wyprzedził pod tym względem Zakopane. Bardzo wysoko w tej klasyfikacji plasowała się także Szklarska Poręba.

– Od pewnego czasu obserwujemy, że ludzie przestają traktować wypoczynek turystyczny jako dobro luksusowe. Staje się potrzebą – uważa szefowa promocji Szklarskiej Poręby Agnieszka Rozenek. – Nie decydują się już na tak długie pobyty jak kiedyś, a rezerwacji dokonują często bardzo późno, ale najważniejsze, że przyjeżdżają. Nie zmienia się natomiast to, że jak zawsze ogromny wpływ na frekwencję ma pogoda. Jeśli zima będzie piękna, turyści odwiedzą nas licznie, by pochodzić po górach, pojeździć na nartach i sankach, pospacerować i pobiegać na nartach biegowych.

Pracownicy restauracji mówią z kolei, że więcej osób niż kiedyś oszczędza na jedzeniu. Jeśli jest opcja noclegu ze śniadaniem lub bez (co ma oczywiście spory wpływ na cenę), częściej niż kiedyś wybierają wariant tańszy. Śniadanie przygo-



Fot. Leszek Kosiorowski

Zjazdówki pozostaną potęgą

Narciarstwo zjazdowe, pomimo szalejących kosztów, pozostanie najpopularniejszym zimowym sportem w Karkonoszach. Szefowie stacji narciarskich zostali zmuszeni do podniesienia cen, ale nie zamierzają ograniczać standardu swoich usług.

Oznacza to, że stoki będą sztucznie naśnieżane, co ma kluczowe znaczenie dla długości sezonu. Sztuczne naśnieżanie pochłania dużo prądu, który okropnie zdrożał, ale w biznesie narciarskim jest podstawą działania, zwłaszcza w ostatnich latach, gdy zimy bywają znacznie cieplejsze i mniej śnieżne niż kiedyś. Nasze stacje narciarskie zresztą nie mają wyjścia – jeśli nie będą działać nowocześnie, jeszcze więcej Polaków będzie wyjeżdżał na zjazdówki do pobliskich, doskonale zorganizowanych stacji czeskich.

Dzienny karnet na wyciągi na Kopie w Karpaczu w wysokim sezonie będzie kosztować 145 złotych, a czterogodzinny 125 zł. Na Szrenicy ceny te odpowiednio wynoszą 139 i 113 zł (seniorzy, młodzież i dzieci płacą mniej). Za korzystanie w szczycie sezonu z wyciągu kanapowego Winterpolu w Karpaczu trzeba będzie zapłacić co najmniej 85 zł (za dwie godziny).

– Branża podnosi ceny o około 20 procent, co spowodowane jest drastycznymi podwyżkami. Prąd do końca roku kupujemy po starych cenach, ale co będzie później, nie wiem – mówi szef kolei linowej na Kopę Waldemar Draheim. – Rujują nas też ogromne wzrosty opłat ze strony Karkonoskiego Parku Narodowego.

Paweł Gogolewski ze Ski Areny Szrenica zapewnia, że podwyżki opłat wynoszą tyle, co wskaźnik inflacji. Firma nie chce przerzucać wzrostu wszystkich kosztów na klientów, bo oni i tak mają – także z powodu inflacji – mniej pieniędzy niż wcześniej.

Zarówno na Kopie, jak i na Szrenicy nie zamierzają rezygnować ze sztucznego naśnieżania ani ograniczenia swoich usług w innych sposób. Ski Arena Szrenica będzie kontynuować załatwianie formalności w celu otrzymania zgód na modernizację swojego ośrodka.

Nie ma mowy o ograniczaniu czy likwidacji działalności także na innych stokach. Cała branża jest w pełnej gotowości na sezon – szefowie wyciągów, instruktorzy, wypożyczalnie oraz gastronomia przy stokach.

Czy frekwencja na wyciągach narciarskich spadnie? Sądząc po sporym zainteresowaniu przyjazdami w Karkonosze nawet na początku grudnia, czyli w okresie, który kiedyś był sezonem martwym, można być pewnym, że gości nie zabraknie. O ogromnym zainteresowaniu Karkonoszami świadczą też statystyki rezerwacji na popularnych, globalnych platformach



Fot. UM Karpacz



Fot. Rafał Kotyjak / UM Karpacz

Wzrost cen paliwa utrudnia wszystkim życie, ale w pewnym ograniczonym zakresie może pomóc. Przez dziesiątki lat tysiące Polaków jeździły na zjazdówki w Alpy. Teraz takie eskapady są znacznie droższe niż kiedyś. Decyzjom o ferii blisko domu sprzyjają też potężne problemy na lotniskach – wiele lotów jest opóźnionych czy nawet anulowanych (i to czasem w ostatniej chwili). Jeśli ktoś nie chce się stresować ryzykiem spędzenia mnóstwa czasu na lotnisku, wybiera miejsca, gdzie dojedzie na pewno. Na przykład w Karkonoszach, Rudawach Janowickich, Górach Izerskich i Górach Kaczawskich.

Jest jeden element, który stacje narciarskie w naszych stronach mogą poprawić i który zależy wyłącznie od nich. Ciągłe bowiem działają osobno, co ludzi przywykłych do wspólnych karnetów, obowiązujących nawet w kilku miejscowościach

(jest to regułą nawet w Czechach), dziwi i zaskakuje. Wspólny karnet bowiem ułatwia życie – można raz jechać w jedno miejsce, następnego dnia w inne, itd., bez myślenia, że tu muszę kupić jeden bilet, gdzie indziej następny itp. W Karkonoszach nawet w Karpaczu osobne bilety mają położone jeden nad drugim wyciągi Winterpol i na Kopie. Oby ich właściciele dojrżeli do decyzji, która opłaci się obu stronom. Jak pisał Darwin: przetrwają ci, którzy potrafią współpracować.

Leszek Kosiorowski

towują sobie sami z produktów kupionych w tanich sklepach. Nie jest rzadkością też, że na śniadaniu hotelowym robią sobie kanapki na wycieczkę w góry czy na narty. Zasadniczo nie powinno się tak robić, ale w wysokiej klasy hotelach, gdzie obowiązuje zasada, że gość ma się przede wszystkim dobrze czuć, obsługa udaje, że tego nie zauważa. Strata dla hotelu prawie żadna, a szansa, że taki zadowolony gość wróci na kolejny pobyt, większa.



Fot. UM Karpacz



Morsy w Karkonoszach

Od kilku lat morsowanie przybrało formę modnej aktywności, stało się niemal powszechnym, wręcz narodowym zjawiskiem. Liczne zdjęcia i filmiki dzielnych gołasów zanurzonych w różnych zbiornikach wodnych, eksponowane w mediach społecznościowych, stały się motywacją dla wielu zmarzluchów, aby spróbować zimowych kąpiei. Dla niektórych to jednokrotne wyzwanie, dla innych to regularna czynność kultywowana dla zdrowia.

Górskie potoki Karkonoszy mają do zaoferowania wszystko, co morsom jest potrzebne: pod dostatkiem lodowatej wody a do tego zupełnie gratis. Wspaniałe doznania widokowe i przyrodnicze. Jest kilka miejsc w Karkonoszach, które cieszą się dużą popularnością wśród lokalnych i przyjezdnych morsów. Jednym z nich wymieniane są m.in. Dzikie Wodospady w Karpaczu, Wodospad Kropelka w pobliżu Piechowic oraz Wodospad Podgórnej w Przesiece. Ostatni z wymienionych jest trzecim co do wielkości wodospadem Karkonoszy i stał się niekwestionowanym liderem pod względem atrakcyjności wśród morsów. Aby zaznać tego wręcz mistycznego zanurzenia w Podgórnej, zjeżdżają w Karkonosze amatorzy górskich kąpiei z różnych zakątków Polski i z zagranicy. To miejsce lubią kluby morsów, osoby morsujące, ale niezrzeszone oraz ci, którzy, przy okazji wizyty w górach, chcą przeżyć wyjątkową przygodę. Pora roku nie stanowi żadnego ograniczenia, bo woda w Podgórnej jest zimna także wiosną i latem.

Tajemnica hartowania

Nabywanie odporności to proces długotrwały i bardzo indywidualny. Szumnie nazywane dzisiaj morsowanie wywodzi się od zupełnie zwyczajnego hartowania organizmu zimnem, które kiedyś było naturalną i powszechną czynnością naszych dziadków i pradiadków. Przebywanie w niedogranych pomieszczeniach, chodzenie na bosaka dla zdrowia i z powodu braku obuwia, przyzwyczajano organizmy do warunków otoczenia. Zwyczaj moczenia odmrożonych stóp naprzemiennie w zimnej i gorącej wodzie czy też mycie się zimną wodą ze studni odeszły wraz z cywilizacją do lamusa. Nadal można hartować się w warunkach domowych, biorąc regularnie zimne i ciepłe natryski, ale nic nie równa się ze spektakularnym morsowaniem na świeżym powietrzu. Wszystkie sposoby na wzmocnienie organizmu są właściwe, pod warunkiem, że są stosowane regularnie i rozsądnie. Zdrowotny wpływ kontaktu

z zimną wodą na organizm to m.in. pobudzenie krążenia krwi, vitalność, ujędrnienie skóry, ukojenie bólów stawów. Wielu morsów docenia towarzyszącą zanurzeniu ekscytację i poprawę samopoczucia. „Lubię morsować, bo robi mi to dobrze na głowę” – podsumowuje morsująca od pięciu lat Agata, która w ten sposób walczy z zimową depresją i apatią.

W świecie morsów

Motywacje do podjęcia i uprawiania tej aktywności są rozmaite, toteż środowisko morsów nie jest jednorodne. Morsy zorganizowane w klubach wyróżnia działanie grupowe i wspólnotowe. Często można ich poznać po jednakowych czapeczkach, bluzach lub innych okryciach z logo klubu. Wspólne morsowanie to integracja grupowa, forma radosnego spędzania czasu na świeżym powietrzu. Morsy klubowe razem rozgrzewają się i gromadnie wchodzi do wody. Mała niecka pod wodospadem Podgórnej wypełniona jest wówczas po brzegi. Zespołowo z niej wychodzą, tryskając pozytywną energią.

– Przyjeżdżamy tu dwa razy w roku na rozpoczęcie i na koniec sezonu – wyjaśnia uśmiechnięty mors z wrocławskiego Morskiego Oka, którego spotykam przy wodospadzie w październiku.

Bardzo często odwiedzają Karkonosze grupy morsów z Pomorza i nizin. Podoba im się to, że tu przy Podgórnej jest ka-

meralnie, zupełnie inaczej i w dodatku przepięknie. To dla przyjezdnych inny rodzaj wodnych doznań i nowa przygoda, która na długo pozostaje w pamięci, a czasami nawet zmienia dotychczasowe życie.

– To miejsce tak mnie zauroczyło, że w końcu zdecydowałam przeprowadzić się tutaj, bo znalazłam pracę w pobliżu – zwierza się Ewa z Wielkopolski, która, mieszkając w Karkonoszach i morsując w Podgórnej, zamierza spędzić lata, które zostały jej do emerytury.

Rejestracje samochodowe z Dolnego Śląska są najczęściej spotykane w weekendowe poranki w pobliżu drogi dojazdowej do Podgórnej. Pojedynczo lub kilkuosobowymi grupkami podążają drogą do wodospadu. W ciszy i milczeniu. Wielu z nich to stali bywalcy, którzy systematycznie morsują dla zdrowia. Wyczekują, aż zwolni się miejsce w niewielkiej przestrzeni wodospadu. Dopiero wówczas w skupieniu wchodzi, aby się zanurzyć i pobyć sam na sam ze sobą, z górskim potokiem, z naturą.

Magia Podgórnej

Otoczenie wokół Wodospadu Podgórnej za każdym razem jest inne i nie zawsze dotyczy to zmian w świecie przyrody. Ludzie, którzy tu przychodzą, mają różne powody i cele. Spotkać tu można osoby zaangażowane duchowo, skupione np. na rytuale picia japońskiej zielonej herbaty oraz takich, którzy



w skupieniu modlą się lub odmawiają mantry przed zanurzeniem. Dla nich wodospad i zanurzenie w nim jest mistycznym miejscem i przeżyciem. Wodospad przyciąga też licznych fotografów, których fascynuje przyrodniczy aspekt tego krajobrazu. Cierpliwie czekają na kamiennym brzegu, aby przestrzeń wokół wodospadu była chociaż przez chwilę pusta

do złapania dobrego ujęcia. A tych chwil w weekendy nie ma wiele. Wodospad Podgórnej staje się coraz bardziej modny jako sceneria do działań komercyjnych. U stóp wodospadu pojawiają się profesjonalne ekipy, które w tej scenerii organizują sesje zdjęciowe lub klipy filmowe. Popularne są modelki – rusałki, pozujące w sukniach lub nago w wodzie. Ostatnio Doda nagrała tu teledysk do swojej piosenki „Wodospady”.

Przy wodospadzie w weekendowe poranki można spotkać nocujących turystów. Ułożeni w śpiworach na drewnianym pomoście łapią swoje intymne chwile kontaktu z naturą. Przyjście morsów ich budzi. Nocujący dołączają do kąpieli, palą ognisko i zjadają się swoim prowiantem. Zazwyczaj są dobrze przygotowani i respektują górskie obyczaje, łącznie z zabieraniem swoich śmieci. Latem można natknąć się tutaj na zorganizowane grupy spragnione silnych wrażeń, których uczestnicy skaczą ze skarpy wodospadu pod okiem swoich instruktorów. Są piski, okrzyki, zdjęcia i filmiki. W wodzie lądują rozgrzani uczestnicy obozu, a obserwujące to morsy z obawą patrzą, czy ta zabawa nie skończy się zawałem serca



któregoś z nich. Bywają też nocne eskapady pod wodospad z czołówkami i ogniskiem. Nocne morsowanie ma zupełnie inny klimat, jest jeszcze bardziej tajemniczo. Zdarza się, że niektórzy pod wodospad ciągną saunę i wówczas zanurzenie w zimnej wodzie jest naturalnym uzupełnieniem przyjemności korzystania z ciepła. Każdy ma to, co lubi najbardziej. A Wodospad Podgórnej ze stoickim spokojem przyjmuje wszystkich z bogactwem swojej naturalnej magii. Niejedno już widział. Niezmiennie szumi i zachwyca kolejne pokolenia miejscowych i turystów Karkonoszy.

Ekstremalni z zimnem i lodem

Różne są techniki i zwyczaje dotyczące zanurzania. Jedni wchodzą do wody „na żywca” i moczą całe ciało, łącznie z głową. Inni robią to tylko w butach neoprenowych i zawsze w czapce. Jedni uważają, że do zanurzenia potrzebne jest teoretyczne, gruntowne przygotowanie, łącznie z kursem lub fachowym szkoleniem. Inni są zdania, że wystarczy solidna rozgrzewka i robienie tego rozsądnie, ze spokojnym oddychaniem w wodzie.

Zanurzanie się w zimnej wodzie na kilka, kilkanaście minut jest niczym przy długotrwałej ekspozycji na zimno i lód propagowanymi przez Icemaną – Wima Hofa. Ten niekwestionowany guru, pomysłodawca i popularyzator wszelkich wyzwań związanych z zimnem i lodem jest inspiracją dla wielu osób, które chcą podążać drogą silnych i ekstremalnych działań. Wim Hof – Holender i mieszkaniec Karkonoszy – autor kil-

ku książek oraz licznych filmików w sieci, chętnie dzieli się swoimi przemyśleniami i propaguje swoją autorską metodę treningu właściwego oddychania. Dorobek Icemaną robi wrażenie. Na swoim koncie ma wiele rekordów Guinnessa dotyczących najdłuższego kontaktu ciała z lodem. Iceman przebiegł maraton za kołem podbiegunowym, wszedł na Kili-mandżaro i pod Mount Everest tylko w szortach i butach oraz przepłynął pod lodem 66 metrów. To tylko niektóre z jego imponujących osiągnięć. Jak sam twierdzi, zimno jest wspa-niałym nauczycielem, a przyjmowanie wyzwań oraz własna intuicja pomogą każdemu osiągać swoje cele. Według Ice-mana opracowana przez niego metoda oddychania, treningu umysłu oraz własne zaangażowanie w połączeniu z ekspozycją ciała na zimno, mogą pomóc w pokonaniu wielu cho-rób i przewlekłych schorzeń. Lista ich jest długa. Sam guru jednak radzi zaczynać spokojnie w domowych warunkach od zimnych pryszniców lub moczenia rąk i nóg w zimnej wodzie. To też jest wyzwanie.

Zwolennicy ekstremalnych metod ekspozycji na zimno, czę-sto pojedynczo lub grupkami, mniej lub bardziej przygotowa-ni, coraz częściej podejmują wyzwania zimowych górskich wycieczek w strojach kąpielowych. Wygląda to niezwykle atrakcyjnie. Są bohaterami szlaku. Wzbudzają zainteresowa-nie, chociaż reakcje obserwatorów tych wyczynów są różne. Wszystko dobrze, gdy taka wycieczka kończy się szczęśliwym zejściem. Gorzej, gdy któryś z wycieczkowiczów, wychłodo-ny, wpada w hipotermię i konieczna jest interwencja GOPR.



Na własnej skórze

Morsuję od ponad trzech lat. Przeprowadzając się po latach w rodzinne strony stwierdziłam, że szkoda nie wykorzystać magii wodospadu Podgórnej, który znam od dzieciństwa i wiąże ze wspomnieniami letnich kąpeli. Ochoczo wciągnęłam się w kilkusobowe grono, które zaczęło morsować kilka lat wcześniej ode mnie. Jestem zdecydowanie ciepłolubna, ale ciekawość i przewlekłe bóle kolana przekonały mnie ostatecznie do tego, aby spróbować. I tak już zostało. Bo morsowanie uznaję za sposób na hartowanie organizmu i rodzaj rehabilitacji zimnem. Weszłam w morsowanie bez filozofii i bez specjalnego przygotowania. Krótkie, ale intensywne podejście i rozgrzewka to konieczne czynności przed rozebraniem się i zanurzeniem.

Nie działam ekstremalnie. Zimą zawsze towarzyszą mi neoprenowe buty i rękawiczki. Głowę chronię czapką i nie moczę przedramion. Za to latem z przyjemnością pływam. Nie przerywam morsowania – mimo że według klasyków morsowanie jest wówczas, gdy temperatura wody ma poniżej 10 stopni Celsjusza, a sezon powinien trwać od października do marca. Górski potok ma różne temperatury i różnie się je odczuwa w zależności od temperatury powietrza, nawet wiosną i latem. Kilka rzeczy jest w moim morsowaniu niezmiennych. Zawsze jest to wczesny poranek weekendowy, aby uniknąć grup zor-

ganizowanych i natłoku turystów przy wodospadzie. Oznacza to pobudkę przed wschodem słońca. Inny rytuał, niezależny od pory roku i temperatury, to termos z herbatą, cytryną i miodem, który opróżniany jest w drodze powrotnej. Pobyt przy wodospadzie jest zazwyczaj intensywny i krótki. Najpiękniejsze są chwile, kiedy rano nie ma nikogo. Nieczęsto się zdarza, aby kameralnie cieszyć się szumem wodospadu i pięknem tego miejsca. Nie czuje się zimna ani upływu czasu. Endorfiny robią swoje. Porę wyjścia z wody często reguluje nadejście innych osób, gdy zaczyna się robić tłoczno. Czy morsowanie w magiczny sposób mnie uzdrowiło, sprawiło, że przestałam chorować? Nie. Zdarzają mi się jesienno – zimowe infekcje. Ból kolana powraca. Niezmiennie jednak zanurzanie się w Podgórnej sprawia mi przyjemność. Po kilku latach morsowania nie męczę już nawet najbliższych fotograficznymi relacjami z cotygodniowych pobytów przy wodospadzie. Mam całą kolekcję zdjęć wodospadu w różnych porach roku i selfie w rozmaitych ujęciach i czapkach. Nie uwieczniłam już tego w pamięci telefonu, kolekcjonuję te obrazy w sobie. Te z Bałtyku i norweskiego fiordu też. Morsuję, bo lubię.

Joanna Cychol

Zdjęcia: Robert Zapora

Primula minima. Mały kwiat – symbol wielkiej miłości do regionu



Fot. Lidia Przewoźnik / KPN

Niezwykle ozdobna prymulka zwana zamiennie pierwiosnką to lubiana i bardzo popularna roślina. Znamy ją nie tylko z barwnych wiosennych skalniaków i ogródków, ale często kupujemy ją jeszcze zimą w doniczkach, by ubarwić sobie wnętrza domów w oczekiwaniu na wiosnę. Do rodziny pierwiosnkowatych należy ponad 400 różnych gatunków. Najmniejszy z polskich pierwiosnków, czyli Primula minima (pierwiosnek maleńki) przez mieszkańców Karkonoszy i okolic zwany był dawniej „Habmichlieb” (Pokochaj mnie). Był także symbolem rozwoju turystyki lokalnej.

Nazwa primula wywodzi się od słowa primus – pierwszy/wczesny. Nic dziwnego, bo kwiaty tej rośliny pojawiają się u niektórych gatunków bardzo wcześnie i zwiastują nadchodzącą wiosnę. Są one bardzo delikatne i występują najczęściej w jaskrawych kolorach – otoczone mięsistymi, kontrastowo zielonymi liśćmi, wspaniale ożywiają przestrzeń po zimowej bieli i szarości. W związku z tym, że primula jest złożonym i różnorodnym gatunkiem z wieloma siedliskami, to w naturze występuje od alpejskich stoków po podmokłe łąki i należy pamiętać, że obecnie w naturalnych siedliskach niektóre gatunki podlegają ochronie.

Z pierwiosnkami wiąże się wiele legend i przesądów. Dawniej wierzono, że kwiaty prymuli wplecione we włosy otworzą drogę do męskich serc. W opisach pierwiosnków w różnych językach znaleźć można dopiski typu Keys of Heaven, Cleft de ST Pierre czy Schlusselflumen. Nazwy te odnoszą się do legendy o św. Piotrze, który w momencie, gdy dowiedział się, że do bram niebiańskich dorobiono nowy komplet kluczy, upuścił stary. Tam, gdzie spadły klucze, wyrosły pierwiosniki, stąd występuje też potoczna nazwa kluczyki. Podobno w średniowieczu rośliny te uznawane były za rośliny czarodziejskie, umożliwiające odkrywanie ukrytych skarbów...

Niektóre pierwiosniki mają też cenione od wieków właściwości lecznicze, w medycynie ludowej różne części tych roślin są stosowane na szereg dolegliwości – jako remedium na kaszel, infekcje górnych dróg oddechowych oraz stany zapalne oskrzeli.

Zalecała go stosować również św. Hildegarda z Bingen i pisała o nim: „Pierwiosnek jest ciepły, a jego cała zielona siła i działanie biorą się z wysokiego położenia stońca na niebie” (Physica 1.199)

Prof. Łukasz Łuczaj (doktor habilitowany biologii, profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, etnobotanik i ekolog) podaje, że pierwiosniki mają jadalne liście i kwiaty, które można kandyzować i używać do dekoracji ciast lub do wyrobu win. Liście

zaś można dodawać do zup. Jak to zazwyczaj bywa, z ilością nie należy przesadzać, ponieważ rośliny te zawierają dużo saponin.



Obraz Guido Maneśa „Josefina Kablik na Śnieżnych Kotłach” z 1848 r. (olej na płótnie) znajduje się w zbiorach Muzeum Karkonoskiego.

W związku z tym, że kwiaty prymuli pojawiają się wiosną jako jedno z pierwszych, zwiastują budzenie się przyrody do życia. Nic więc dziwnego, że w sztuce i literaturze rośliny te są symbolem nowej energii, świeżości i nadziei, a także tajemnicy, odwagi i zaufania. Kwiat ten był natchnieniem dla wielu pisarzy i pojawia się w baśniach Hansa Christiana Andersena, wierszach Władysława Broniewskiego. Najbardziej znanym tekstem o prymulce jest utwór „Pierwiosnek”, który rozpoczyna cały cykl „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza wydanych w 1822 roku.

Primula minima czyli pierwiosnek maleńki, mimo iż występuje w większości gór Europy, a w Polsce możemy go zobaczyć w najwyższych pasmach Sudetów i Karpat (na terenie Tatrzańskiego i Karkonoskiego Parku Narodowego), to właśnie

z Sudetami jest wyjątkowo związany kulturowo i historycznie. W XIX wieku, kiedy to botanika zaczęła się dynamicznie rozwijać i badania rozszerzono na wszystkie kontynenty, na terenie Karkonoszy działała mieszkająca w Vrchlabi Josephine Kablick (ur. 1787, zm. 1863), czeska aptekarka, botanik i paleontolog. Korespondowała z najwybitniejszymi uczonymi tamtej epoki i zaliczana jest do najbardziej aktywnych i wytrwałych zbieraczy materiałów do badań, skamieniałości roślin i zwierząt kopalnych. W wielu muzeach i kolekcjach europejskich można znaleźć zebrane przez nią okazy. To właśnie ona dokonała w Karkonoszach jako pierwsza rozpoznania, wydzielenia i opisanie Primuli minimy. Wydarzenie to zostało uwiecznione na obrazie Guido Maneśa, który przedstawia ją trzymającą kwitnącą Primulę minimę. Scena została ukazana na tle nieistniejącego schroniska księcia Henryka w Karkonoszach.

Z wyglądu i w porównaniu z pozostałymi gatunkami pierwiosnków Primula minima to niewielka rozetkowa bylina mająca zaledwie 5 cm wysokości. Jej kwiaty w proporcjach części naziemnej rośliny są bardzo duże, dochodzące do 3 cm średnicy, osadzone pojedynczo na krótkiej łodyżce. Posiadają pięć płatków koloru purpurowego, głęboko wcięte mają kształt serca. Liście są bardzo krótkie, lśniąco, z wciętymi ząbkami, zebrane w kształt rozety przy samej ziemi. Wygląd i proporcje rośliny przystosowane są do egzystencji w warunkach wysokogórskich, na terenach głównie od piętra kosówki po piętro halne, gdzie występuje. W Karkonoszach można go zobaczyć w rejonie Śnieżki i kotłów połodowcowych. **Primula minima na terenie Polski objęta jest ścisłą ochroną gatunkową.**

Odnaka Towarzystwa Karkonoskiego



Z inicjatywy Teodora Donata z Mysłakowic została założona w 1880 roku organizacja turystyczna pod nazwą Towarzystwo Karkonoskie (RGV – Riesengebirgsverein). Ugrupowanie to wniosło ogromny wkład do rozwoju turystyki w regionie przez promowanie walorów przyrody, przygotowanie odpowiedniej infrastruktury i inwestycji, z których w większości do dziś korzystamy. W pierwszych latach funkcjonowania organizacja budowała, organizowała i modernizowała letnie oraz zimowe szlaki turystyczne, których długość do 1930 roku wyliczono na ok. 300 km. Istotnym osiągnięciem było udostępnienie turystom Wąwozu Kamieńczyka oraz budowa i oddanie do użytku w 1905 roku „Drogi Jubileuszowej”, której nazwa odnosi się do rocznicy 25-lecia Towarzystwa. Ta chętnie wybierana trasa prowadzi od Domu Śląskiego na szczyt Śnieżki. Organizacja propagowała również turystykę młodzieżową i uruchomiła na takie potrzeby 10 schronisk z których skorzystały tysiące uczniów. W celu ochrony fauny i flory oraz pomników natury założono straż górska. Towarzystwo cieszyło się dużym zainteresowaniem, co przekładało się na ilość zrzeszonych osób. W lipcu 1918 r. ugrupowanie liczyło ponad 1200 członków. W 4 lata po założeniu miało zaś prawie 4000 członków w prawie wszystkich miejscowościach w Karkonoszach i Górach Izerskich istniały grupy terenowe. Ważnym punktem w działalności było założenie Muzeum Karkonoskiego (Riesengebirgsmuseum),

którego początki stworzyły dary członków stowarzyszenia, interesujące przedmioty i dzieła sztuki. Przekazane książki i pamiątki z podróży przyczyniły się zaś do powstania biblioteki. Organem prasowym organizacji był miesięcznik „Der Wanderer im Riesengebirge” (Wędrowiec w Górach Olbrzymich), który służył przede wszystkim sprawozdawczości, opisując i relacjonując działania. Duży nacisk kładziono również na propagowanie walorów okolicy i w licznych artykułach opisywano historię, kulturę i tradycje regionu. Podczas rozmów na temat symbolu towarzystwa zaproponowano dwie rośliny – Teufelsbart, czyli sasankę zwyczajną i właśnie pierwiosnek maleńki. Po rozważaniach zdecydowano się na tą drugą i kwiat ten został umieszczony w nagłówku czternastego numeru czasopisma. Od tamtej pory do dnia dzisiejszego tak wygląda logo stowarzyszenia, które obecnie w nieco zmienionej formie, w kilku sekcjach działa na terenie Niemiec. W 2010 roku w 130. rocznicę powstania towarzystwa, w trakcie dyskusji w Muzeum Karkonoskim w Jeleniej Górze padł pomysł, by pozyskać nasiona lub sadzonki i przewieźć do Ogrodu Botanicznego w Sachen w Bawarii. Projekt ziścił się w 2012 roku, kiedy oddział monachijski towarzystwa otrzymał od władz Karkonoskiego Parku Narodowego nasiona z certyfikatem. 10 lipca 2013 roku miało miejsce przesadzenie do Ogrodu Alpejskiego w Sachen.

Teodor Donat, pierwszy przewodniczący Towarzystwa Karkonoskiego poświęcił pierwiosnkowi maleńkiemu uroklivy wiersz, który został opublikowany w lipcu 1881 roku w pierwszym numerze czasopisma „Der Wanderer im Riesengebirge” (Wędrowiec w Górach Olbrzymich)

„Pokochaj mnie”

Tutaj na górze chmur szarmandzkich armia,

w dolinie ziaren falujące morze,

w mieście tłumy hałaśliwy pośpiech

a tu prawie cisza grobu.

Tu na skalnych głazach z delikatnymi pędami

nieśmiało ukrywa się mały kwiatek „Pokochaj mnie”.

Głęboko w górach, w lśniącej sali,

Wśród złotych skarbów siedzi na tronie Duch Gór

Tutaj, gdzie tańczy trzepocząca narzeczona wiatru,

kwitnie tysiąc kwiatów, które on zasadził.

Przed wszystkim piękny złodziej serc,

mały kwiatek „Pokochaj mnie”.

Przywiera wiernie do zimnej skały

i ozdabia wierzchołek góry purpurową poświatą

i pozdrawia wędrowca zmęczonego i znużonego

który odważnie dąży do celu.

Ty drogocenny kwiecie, delikatny i filigranowy,

będziesz naszą ozdobą i symbolem.

Olga Orlińska Szczyżowska

Miedzianka – opowieść o mieście, którego nie ma

„Decyzją prezydium wojewódzkiej rady narodowej we Wrocławiu z dnia 13 maja 1972 roku w sprawie likwidacji zagrożenia bezpieczeństwa ludzi i mienia w miejscowości Miedzianka, powiat Jelenia Góra. W wyniku zakwalifikowania miejscowości Miedzianka do obszaru szkód górniczych kategorii piątej, jako nie nadającego się do zabudowy oraz stwierdzenia degradacji technicznej przeważającego stanu zainwestowania i potencjalnego zagrożenia bezpieczeństwa ludzi i mienia, uznaje się za konieczne przeprowadzenie planowanej akcji:

- likwidacji zakładów produkcyjnych
- przesiedlenia ludności
- rozbiórki zagrożonej zabudowy.”

To był początek końca...

Najlepiej wsiąść do pociągu na dworcu głównym w Jeleniej Górze albo we Wrocławiu. Byłe tylko zatrzymał się na stacji Janowice Wielkie. Można też wsiąść w samochód, co oszczędzi nam długiego i medytacyjnego podejścia pod górę.

Podróż może być krótka, ale też długa, bo przecież zaczarowani fenomenem Miedzianki przyjeżdżają tu z całej Polski. Nie da się ukryć, że popularność dawnego miasteczka była w ostatnich latach ogromna. Co tak naprawdę kryje Miedzianka? Czy to kolejna z wielu historii o znikających miasteczkach i wsiach Dolnego Śląska? Czy może pod płaszczykiem tajemnicy kryje się tu coś więcej?

Cupri Fodina, Kupferberg, Miedziana Góra i w końcu Miedzianka – miasto, którego nie ma. Ale czy aby na pewno? Przecież na początku miejscowości błyszczy nowy Browar Miedzianka, tuż przy drodze na ukończeniu jest remont starego Browaru Franzkiego, a ponad pozostałe zabudowania wystrzelił w niebo Szyb Miedzianka, w którym mieści się księgarnia. Nie można zapomnieć, że w dawnej szkole urządzono klimatyczny i stylowy pensjonat pod nazwą Stara Szkoła Miedzianka.

Mimo burzliwej historii tej miejscowości, czas tutaj jakby przysiadł na chwilę na kamiennym krzyżu, aby rozejrzeć się wokół tego, co pozostało. Według legendy to właśnie kamienny krzyż i wydarzenie z nim związane miało być początkiem złego. Dawni mieszkańcy Miedzianki opowiadali, że miasteczko jest przeklęte, że od wieków wisi tu klątwa za niespłacony dług, za przelanie braterskiej krwi. Tak jak Kain zabił Abła, tak w dawnym Kupferbergu brat miał zamordować brata. Krew na rękach mordercy sprowadziła na Miedziankę karę, której w żaden sposób nie dało się odkupić. Jej mieszkańcy nigdy nie spoglądali w miejsce, w którym stoi dzisiejszy pomnik prawa karnego, wierząc że przynosi to pecha. Choć to tylko przesady i legenda, jest w tej opowieści coś niepokojącego.



Kamienny krzyż stoi w odległości nie większej jak sto metrów od Browaru Miedzianka, patrząc z tarasu widokowego po prawej stronie opodal samotnie rosnącego drzewa. Na krzyżu znajduje się napis „Memento” – pamiętaj.

Seria nieszczęść

Pierwszy raz, kiedy klątwa dała o sobie znać, to Wojny Husyckie, po raz drugi Miedzianka znika podczas Wojny Trzydziestoletniej, a potem kolejny raz, gdy Fryderyk II Hohenzollern odebrał zbrojnie Śląsk austriackim Habsburgom. Do tego dochodzące liczne pożary i epidemie sprawiają, że miasteczko za każdym znika. I kiedy wydawać by się mogło, że wszystko, co złe, już minęło i miasteczko zaczynało się odradzać, los jakby za każdym razem drwił sobie w najlepsze, sprowadzając na Miedziankę kolejne nieszczęścia. Ostatecznie miejscowość zniknęła niemal całkowicie z krajobrazu decyzją Wojewódzkiej Rady Narodowej w 1972 r.

Ale od początku...

Pierwszym zapisanym w kronikach właścicielem Miedzianki był niejaki Conrad Bavarus, choć niektóre źródła podają, że Albert Bavarus. Kolejnym – Clericus Bolcze pochodzący z linii Piastów Śląskich. Wkrótce zakłada on w pobliżu niewielki zamek obronny Bolczów, nazywany przez Niemców Bolzenschloss.

W drugiej połowie XV w dobra Miedzianki stają się własnością starosty Księstwa Świdnicko – Jaworskiego, Konrada von Hochberga. Ten zaś sprzedaje Miedziankę wraz z wszystkimi jej dobrami Dippoldowi von Burghaus, który w 1519 r. przyczynił się do nadania statutu wolnego miasta górniczego przez króla czeskiego Ludwika Jagiellończyka. Dippold panował tu do roku 1531, po czym Miedzianka i tereny wokół stają się własnością Justusa Decjusza – sekretarza Zygmunta Starego.

Piwo

Nieodłączną wizytówką Miedzianki był browar. Tradycja warzenia piwa sięgała XV wieku. Złotem Miedzianki nazywano piwo, które warzył od 1876 r. Ewald Franzky. Browarnik ten unowocześnił browar o maszynę parową oraz wprowadził produkcję piwa bawarskiego. W 1910 r. syn Ewalda Franzky’ego, Georg przejął interes po ojcu.

Niektórzy twierdzili, że piwo z Miedzianki dorównywało, a nawet przewyższało w smaku czeskiego Pilznera.



Szczęśliwy czas dla browaru miał się skończyć wraz z nastaniem II Wojny Światowej. 8 maja 1945 r. weszły bez walki od strony Ciechanowic i Marciszowa jednostki Armii Czerwonej. Rozpoczął się proces wysiedlania ludności niemieckiej. Browar przestał działać. Dopiero w latach pięćdziesiątych znów zostaje uruchomiony. Rozpoczęto w nim warzenie trzech rodzajów piwa: lekkiego, pełnego i mocnego. Kierownikiem Browaru Miedzianka zostaje Stefan Spiż, który wraz z rodziną trafił do Miedzianki z przymusowych robót w browarze w Niemczech.

Syn Stefana, Bogdan, tak opisywał Miedziankę:

„Miedziankę pamiętam od zawsze. Miedzianka to moje dzieciństwo. Miedzianka, to przede wszystkim przednie piwo, które warzyłem z ojcem. Rocznie sprzedawaliśmy prawie milion litrów. Ojciec warzył doskonałe piwo. Nie wiem, czy dlatego, że w Miedziance była wspaniała woda, czy może dlatego, że zawsze pilnował porządku. Jak Niemcy”.

Na początku lat 70-tych Legnickie Zakłady Piwowarsko – Słodownicze złożyły wniosek o likwidację zakładu i przeniesienie produkcji do innych miejscowości w powiecie jeleniogórskim. Przyczyną likwidacji były rzekome czynniki ekonomiczne, a przywrócenie opłacalności produkcji wymagało bardzo dużych nakładów inwestycyjnych. Wieloletni kierownik browaru Stefan Spiż chciał przejąć zakład w ajencję. Niestety, lwówce władze zakładów piwowarskich nie wyraziły na to zgody.

Dzisiaj po Miedziance pozostały stare fotografie i wspomnienia. Czasem jakaś dziura w ziemi albo piwnica. We wnętrzu

jednej urządzono tuż przy drodze jakby izbę pamięci, w której znajduje się plan miasta, a po obu stronach zawieszono plansze z przedwojennymi fotografiami Miedzianki z czasów jej dawnej świetności. Dzięki fotografiom i umieszczonej mapce orientacyjnej, całość zaczyna nabierać sensu. Zaczynamy wyobrażać sobie, jak faktycznie wyglądało to miasto, ale z drugiej strony zadajemy sobie pytanie, jak to mogło się stać? Kto jest za to odpowiedzialny, że pogrzebał ponad siedemsetletnią historię jednego z najważniejszych w tym rejonie ośrodków górniczych?

Ostał się kościół

W centralnym punkcie dawnego rynku stoi kościół katolicki pw. Narodzenia św. Jana Chrzciciela. To jedyna sakralna budowla i najstarsza zachowana w Miedziance. Mieszkańcy miasteczka mówią, że stoi tutaj tylko cudem. W 2002 r. od strony absydy zapadła się ziemia, odsłaniając kilkunastometrową głębokość szybu pochodzący jeszcze ze średniowiecza. Ci, którzy wiedzą, profilaktycznie nie stawiają przed kościołem swoich samochodów, przyjeżdżając na mszę. Ale tylko niektórzy...

Po drugiej stronie drogi była jeszcze jedna świątynia, która jako jedyna została wysadzona w powietrze przez Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego w 1967 r. Mowa o nieistniejącym kościele ewangelickim. Dziś na środku niewielkiej łąki, na której stał dawniej kościół, między drzewami zawieszona jest metalowa kula symbolizująca kapsułę czasu. To instalacja artystyczna Elżbiety Wysakowskiej-Walters. Zawieszono ją w miejscu, w którym stała wieża kościoła. A co, gdyby ko-



ściół przetrwał? Czy coś by się zmieniło? Czy podzieliłby ten sam los, który spotkał wiele innych kościołów ewangelickich na Dolnym Śląsku?

Trudno się tu dziś odnaleźć. Bez planu miasta i starych map może być ciężko, ale wystarczy spojrzeć na starą fotografię, żeby zorientować się, że w tym miejscu pięćdziesiąt lat temu stały kamienice. Dziś, oprócz porozrzucanych cegieł, piwnic i chaszczy, nie ma dosłownie niczego.

Plany były ambitne. Władze PRL chciały uratować miasteczko i przeznaczyć dla emerytowanych górników głównie z okręgu wałbrzyskiego, ale ten pomysł nie wypalił. Odgórny zakaz remontowania Miedzianki doprowadził do jej całkowitej dewastacji. Mieszkańcy opowiadali, że gdy kładli się spać, domy jęczały i trzeszczały, jakby chciały wyrazić swój żal. Wtedy naciągali kołdrę na głowę, żeby tego nie słyszeć. Jak komuś było zimno, to szedł na piętro, rąbał podłogi, drzwi, okna i palił tym w piecu. Dopiero jak zaczęło się łąć na głowę, to prosił naczelnika gminy w Janowicach Wielkich o zastępcze lokum.

Byli i tacy, którzy przyjeżdżali z sąsiednich miejscowości i kradli cegły, belki, wszystko, co nadawało się jeszcze do wykorzystania.

Duchy

Dawni mieszkańcy opowiadali, że w Miedziance Niemcy zostawili swoje duchy...



„Pracowałam kiedyś w fabryce w Marciszowie. Jak wracałam z drugiej zmiany, to przechodziłam obok szybu górniczego. Na początku myślałam, że mi się wydaje, ale z wnętrza dochodziły jakieś krzyki i hałasy, jakby się ziemia waliła. To było przerażające. Chodziłam potem do domu inną drogą”.

„Jest taka droga w lesie, jak się idzie skrótem z Miedzianki do Janowic. Pojawia się tam taka wysoka i czarna postać, która nie chce przepuścić nikogo, kto na tej drodze się pojawi. Ale jeśli ktoś będzie uparty i zdeterminowany, wtedy ta postać znika. Ludzie boją się tamtędy chodzić”.

„Mieszkaliśmy w dolnej części Miedzianki. Tego domu już nie ma, ale nasza babcia straszyła nas też, że jak będziemy niegrzeczni, to przyjdą po nas duchy dzieci, zakopanych pod podłogą domu. Baliśmy się wtedy bardzo”.

„Przy starej drodze, jak się idzie na Mniszków koło starej szkoły jest grób Hugo Ueberschauera. Na pierwszego listopada zawsze stoi tam znicz i nikt nie wie, kto go zapala. Tyle wiem, że był to policjant niemiecki, który popełnił samobójstwo. Kiedyś, wieczorem koło tego grobowca, było widać, że z tego miejsca idzie taka świetlista postać. Nikt nie odważył się tam chodzić po nocy”.

„Kiedyś na zakręcie drogi w górnej części miasta, obok budynku dawnej gospody Pod Czarnym Orłem stał dom. Tam podobno była kiedyś niemiecka gospoda, gdzie nocą słychać było bieganie po schodach i korytarzu, chociaż nikogo tam nie było. Od kiedy budynek rozebrano, to się uspokoiło, ale nikt tam się nie zapuszcza”.

Cmentarz

Trzydzieści metrów od szybu górniczego znajduje się stary cmentarz. Na środku postawiono pamiątkowy kamień z napisem: „Spoczywajcie w pokoju, jesteście niezapomniani”. Za namową dawnych mieszkańców Miedzianki inicjatorem był Karl Hainz Friebe, który jako sześciolatek musiał opuścić miasteczko. Po 1989 przyjeżdżał tu z żoną co roku, aż do 2015, kiedy zmarł.

Podczas uroczystości odsłonięcia kamienia przyjechało kilkoro Niemców, byli także polscy mieszkańcy Miedzianki. Przyjechał też pastor z Cieplic. Głosząc kazanie powiedział, że nad grobami Polacy i Niemcy powinni podać sobie ręce. Było to 11 lipca 1999 r.

Po wojnie cmentarz był nienaruszony. Otoczony solidnym murem i kutą bramą. Wewnątrz na skrzyżowaniach alejek znajdowały się kamienne figury aniołów. Co się z nimi stało, tego nikt nie wie. Pierwsze zostały rozszabrowane nagrobki, które wyciągano ciągnikiem. Mieszkańcy opowiadali, że potem ścierali niemieckie nazwiska i zastępowali je polskimi. Przez takie działania odsłonięto wiele grobów, a kości zaczęły się walać po całym miasteczku...

Pałac

Pierwsze wzmianki o zamku w Miedziance pochodzą z 1353 r. Wzniósł go Bolko II Świdnicko – Jaworski. Zamek dość często zmieniał właścicieli.

W latach 1813 – 1819 z polecenia właściciela Gustawa von Matuschki na miejscu zamku wybudowano nowy pałac w stylu klasycystyczno – biedermeierowskim. Ostatnim właścicielem do końca II Wojny Światowej był Hrabia Stolberg zu Wernigerode.



Po wojnie w pałacu umieszczono administrację i stołówkę kopalni, a kiedy zamknięto kopalnię, pałac przejęła Państwowa Straż Pożarna na ośrodek kolonijny. Nie trwało to jednak długo. Pod koniec lat pięćdziesiątych pod ziemię zapada się prawie skrzydło pałacu wraz z magazynem żywnościowym. Organizowanie kolonii dla dzieci w takim miejscu było zbyt ryzykowne. Pałac znów pustoszeje. Brakuje jednego skrzydła, oka są dziurawe, a zimą mieszkanie w obiekcie staje się wręcz niemożliwe. W końcu pałac popada w coraz większą ruinę. Czas i zaniedbanie dokonują dzieła. Ostatecznie pałac umiera.

Tu było wszystko

Przed wojną miasteczko było samowystarczalne i nie brakowało niczego. W mieście znajdowały się dwie szkoły parafialne – ewangelicka i katolicka, wytwórnia adamaszku, młyn, stacja paliw Schell, browar, wytwórnia wody mineralnej i lemoniady, wytwórnia wódek i likierów, apteka, fryzjer, kopalnia, restauracja, kino, teatr, sala balowa, winiarnia, stolarnia, piekarnia i wiele innych. Miasteczko rozwijało się także kulturalnie i sportowo. W Miedziance działał chór męskich śpiewaków, stowarzyszenie strzelców, kółko teatralne, męski związek gimnastyczny, ochotnicza straż pożarna i drużyna bobsleistów, która wykorzystywała zimą drogę z Janowic Wielkich do Miedzianki jako tor saneczkowy.

Wszystkiemu winne kopalnie?

Po wojnie Miedzianka stała się jednym z okręgów górniczych, które na rzecz dawnego ZSRR pozyskiwały w kopalniach rudę uranu. Eksploatacja tego promieniotwórczego pierwiastka miała doprowadzić do nieodwracalnych szkód górniczych i w późniejszym czasie do podjęcia decyzji o likwidacji miasteczka. Według ekspertów ściany budynków miały pękać, a ziemia wokół Miedzianki zapadać, co stanowiło bezpośrednie zagrożenie dla mieszkańców i było jedną z głównych przyczyn o podjęciu tak radykalnej decyzji. Dziś czarne oczodoły szybów górniczych i sztolni zioną ciemnością. Po eksploatacji rudy uranu nigdy ich nie zabezpieczono. Na hałdach czasem można znaleźć kolorową chryzokolę, chalkopiryt czy magnetyt, ale mogą się też trafić kamienie zawierające promieniotwórcze pierwiastki.

Czy to już koniec Miedzianki?

W roku 2022 – mija 50 lat, odkąd Wojewódzka Rada Narodowa wydała decyzję o likwidacji miasteczka. Obszarem rekultywacji terenu objęto 32 hektary ścisłego centrum. Dziś mieszka tu około 40 osób. W czasach, gdy funkcjonowały kopalnie, mieszkało 3000, a przed wojną 800. Przecież w Polsce takich znikających miast było wiele. Dlaczego więc aż taką uwagę przywiązujemy do Miedzianki?

Miedzianka przeżywa swój kolejny renesans. W miejscowości w ostatnich latach organizowano spektakle teatralne, festiwale reportażu. Wciąż przyjeżdżają wycieczki, a wieczorową porą organizowane są spacer z lampami naftowymi. Już za chwilę otworzy się drugi browar, działa Szyb Miedzianka i chyba jeszcze dawne miasteczko nie powiedziało swojego ostatniego zdania.

Tekst i zdjęcia współczesne: Jarosław Szczyżowski
Zdjęcia archiwalne i dawne pocztówki ze zbiorów Pawła Nowaka

Własną ścieżką z Michałowic. 30 lat Teatru Cinema

– Dziś pewnie byśmy się nie odważyli – mówili aktorzy Teatru Cinema podczas wydarzeń z okazji 30-lecia swej sceny. W 1992 roku rzucili etaty w Teatrze im. Cypriana Kamila Norwida w Jeleniej Górze, by założyć własny, awangardowy teatr z siedzibą w karkonoskich Michałowicach. – Jesteście moją przygodą życia! – podsumował jeden z nich – Tadeusz Rybicki.



Zaproszenie na wydarzenia XXX-lecia, do którego Zbigniew Szumski wykorzystał obraz Katarzyny Rotkiewicz-Szumskiej „Miki not dead” jako wizytówkę jubileuszu.

Poszli swoją ścieżką, zainspirowani przez Zbigniewa Szumskiego. Jego osobowość wymykała się sztywnym ramom zinstytucjonalizowanego teatru. Jak przypomniano na jubileuszowym spotkaniu w jeleniogórskim BWA, gdy na początku lat 90. XX wieku był zatrudniony jako scenograf w jeleniogórskim Norwidzie, potrafił pod nieobecność dyrektora Jerzego Zonia wystawić sztukę z udziałem wszystkich pracowników i zapłacić im z pieniędzy za bilety. Gdy dyrektor, wrócił okazało się, że pieniądze mają wrócić do kasy. Dla Szumskiego nie był to wielki problem. Pracował wtedy bowiem jako scenograf w Niemczech i zarabiał w markach bardzo dużo (w przeliczeniu na złotówki). Pieniądze były dla teatru niezbędne, by kupić za nie opał, z którym były wtedy problemy jeszcze większe niż teraz.

Źródła i mistrzowie

W Niemczech Szumski był zafascynowany Teatrem Tańca Piny Bausch. Ta charyzmatyczna, niemiecka artystka i Tadeusz Kantor byli dla niego źródłami inspiracji. Przytaczał jej słowa: „Nie interesuje mnie to, jak ludzie się poruszają. Interesuje mnie to, co ludźmi porusza”. Jego metoda pracy z aktorami polegała na uruchomieniu energii aktorów, a nie na narzucaniu im czegoś i kontroli tego. To zupełnie inne podejście od stosowanego w wielu teatrach, co po latach czasem kończy się różnymi oskarżeniami o upokarzanie, mobbing i inne nieprzyjemne sprawy. Szumski nie chciał odbierać aktorom oso-

bowości, ale wyzwalać ją. Chciał, by każdy aktor tworzył na scenie siebie, swój własny teatr.

Za swojego mistrza uważał też Jerzego Grotowskiego. Przypominał jego słowa kierowane do uczniów: “Weźcie ze mnie pasję, ale nie idźcie moją ścieżką, bo ona jest bardzo wąska. Idźcie swoją ścieżką”.

Z teatrem Piny Bausch w Wuppertalu Szumskiego i jego żonę Katarzynę łączyli także przyjaciele – tancerz Janusz Subicz i jego żona Nazareth Pandero (także tancerka). Teatr tradycyjni w ogóle ich nie interesował. Ale obejrzenie w akcji teatru Piny Bausch okazało się objawieniem. Po latach podobne wrażenie odnosiło wiele osób, które po raz pierwszy zobaczyły spektakle Teatru Cinema.

Nazwa teatru wzięła się z tytułu przedstawienia, które Zbigniew Szumski zrealizował w jeleniogórskim Norwidzie z udziałem czterech aktorów po szkole teatralnej we Wrocławiu: Jana Kochanowskiego, Tadeusza Rybickiego, Dariusza Skibińskiego i Bogusława Siwki. Przy spektaklu “Cinema” współpracowali z nimi plastycy: Katarzyna Rotkiewicz – Szumska i Mariusz Mielecki – malarz, pochodzący – jak Szumscy – z Trójmiasta. Cała drużyna założyła Teatr Cinema.



Zdjęcie z realizacji spektaklu "Słownik sytuacji" w kooperacji z SPIELART Festival w Monachium, zrobione w trakcie prób w Michałowicach.



Próba do „Rewii Ognia” w Piekarni / Instytucie Grotowskiego.

Michałowice

Siedzibą Teatru Cinema jest dom wybudowany w 1688 roku w karkonoskich Michałowicach, będących dziś częścią Piechowic. Kiedyś był w nim pensjonat i dom wczasów pracowników. Nazywa się Obecność, co rzuca się w oczy od razu, bo nazwa, złożona z oryginalnych liter pamiętających niemieckie dzieje tej ziemi, umieszczona jest w centralnym miejscu. To dom z duszą dawnych i obecnych mieszkańców, pełen szkiców i obrazów Szumskich, teatralnych rekwizytów, z zachowaną drewnianą konstrukcją, piecami kaflowymi, mosiężnymi klamkami, kinowymi krzesłami. Życie codzienne spleta się w nim z teatrem.

Państwo Szumscy kupili go za pieniądze m. in. ze sprzedaży swojego mieszkania w Gdańsku. Stał się miejscem pracy nad spektaklami, ale i domem innych aktorów mieszkających tu z rodzinami. Oczywiście mnóstwo pracy i pieniędzy trzeba było najpierw włożyć w remont, który doprowadził do podzielenia domu na pięć autonomicznych przestrzeni mieszkalnych. Razem grali, mieszkali, opiekowali się dziećmi, sprząтали, prali. Stworzyli wspólnotę, niczym kolonię artystyczną, z której Karkonosze znane były już wiele lat wcześniej. Żyli!

Na scenie

Tworzyli i grali bardzo często, raz nawet trzy razy w ciągu dnia ten sam spektakl, co było niebywale wyczerpujące. Nie zawsze ich sztuka była dobrze odbierana – w Koninie, na przykład, na festiwalu, gdzie na widownię zgoniono nauczycieli i uczniów, w trakcie przedstawienia wyszli wszyscy poza



„Nie mówię tu o miłości”

jury. To jury dało Cinemie nagrodę, a aktorzy, by znieczulić się po reakcji widzów, w hotelu wypili wódkę. Nie pomogła... Potem okazało się, że młodzież wyszła zachęcona przykładem nauczycieli, którym spieszyło się już na wolne...

Z uśmiechem wspominają też premierę pierwszego spektaklu. Klęska, także z przyczyn technicznych. Coś nie zadziało, więc jeden z aktorów musiał stać na scenie w oczekiwaniu, aż sytuacja zostanie naprawiona. Koledzy aktorzy z Norwida, którzy byli widzami, oceniali, że to jakiś totalny odlot, ale że trzeba go dopracować.

Przez kilkanaście lat grali bardzo często, nie mogli narzekać. Jeździli po małych i dużych miastach, a na festiwalu w Krakowie, gdzie pokazali "Donga", zrobili taką furorę, że przedstawienie pokazał Teatr Telewizji. W tamtych czasach (połowie lat 90. XX wieku), gdy nie istniał jeszcze



Fot. Teatr Cinema

„Hotel Dieu”



Fot. Marcin Oliva Soto

Zbigniew Szumski w trakcie rozmowy z publicznością po spektaklu "Nie mówię tu o miłości" w Sali Laboratorium Instytutu Grotowskiego we Wrocławiu w ramach XXX-lecia Teatru Cinema, listopad 2022.

MS
Marcin Oliva Soto

powszechny internet, telewizja miała gigantyczną moc promocyjną. Spektakl zobaczył Jeremi Przybora. Napisał o nim w superlatywach, jako nowym zjawisku, w tygodniku "Polityka".

Dziennikarze starali się jakoś określić i zaklasyfikować Teatr Cinema, ale sami twórcy dystansują się od zaszufladkowania. Mówią, że robią po prostu swój teatr.

Posypały się zaproszenia na międzynarodowe festiwale, nagrody, występy m.in. w Meksyku, Kairze, Izraelu. Z czasem Cinema zaczął realizować międzynarodowe projekty z udziałem artystów z innych scen. Było i jest to bardzo interesujące, choć pod względem merkantylnym nie tak dochodowe, jak seryjne granie w pierwszym okresie działania.

Zmienił się także skład – aktorzy odchodzili, szli swoją ścieżką, inni działają gdzie indziej, ale z Cinemą współpracują.

Co dalej? Na spotkaniach z okazji 30-lecia nie było widać rezygnacji ani wypalenia. Można było odnieść wrażenie, że Teatr Cinema zbudował wokół siebie społeczność aktorów i sympatyków, bardzo żywą, kreatywną, gotową na kolejne wyzwania oraz wrażenia.

Leszek Kosiorowski

Zdjęcia z archiwum Teatru Cinema



Fot. Teatr Cinema



Fot. Tomasz Mielech

Twórcy Teatru Cinema



Historyczna podróż do krainy zmysłów...

Pobudzającą zmysły wystawę „Historia Piernikarskiego Rzemiosła” do 26 lutego 2023 roku prezentuje Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze. To propozycja wyjątkowego spotkania z „aromatyczną” tradycją nie tylko w czasie zimowych świąt. Ciekawej opowieści o dziejach piernikarstwa towarzyszy szereg wydarzeń edukacyjnych promujących mało znane dziedzictwo kulturowe regionu

Rozwój silnych ośrodków rzemiosła piernikarskiego przebiegał od średniowiecza równolegle w kilku ośrodkach w Europie Środkowej, takich jak Norymberga w Niemczech, Pardubice w Czechach, w Toruniu w Ziemi Chełmińskiej a także na Śląsku z Wrocławiem i Świdnicą na czele, gdzie jako pierwsi w Europie odnotowani są w dokumentach (1293r.) piernikarze jako „wykonujący pieprzne ciastka”.

Jako że piernik jest najstarszym rodzajem ciasta do dzisiaj produkowanym, wystawa przybliża temat rozwoju piernikarskiego rzemiosła na Dolnym Śląsku i w regionie Jeleniej Góry na tle rozwoju piernikarstwa w Europie Środkowej, w tym w Polsce (na przykładzie historii toruńskiego piernikarstwa). Chronologia wystawy obejmuje ponad 700 lat, zawierając się w szerokich ramach czasowych od XIII do XX w. Terytorialnie obejmuje Śląsk, Górne Łużyce i Polskę, co umożliwi porównanie dolnośląskiego, w tym jeleniogórskiego, piernikarstwa z obszarem Europy Środkowej i obszarem Polski reprezentowanym przez „Świat toruńskiego piernika”.



Ekspozycja składa się z dwóch bloków tematycznych. Pierwszy z nich to „Historia piernikarskiego rzemiosła w Europie Środkowej i na Dolnym Śląsku”, zaprezentowana dzięki „wędrującej” wystawie „Pierniki – Podróż do krainy zmysłów...”



MUZEUM KARKONOSKIE
W JELENIEJ GÓRZE

ul. Jana Matejki 28, 58-500 Jelenia Góra, www.muzeumkarkonoskie.pl

Historia Piernikarskiego Rzemiosła

listopad 2022 - luty 2023

projekt: Bogumiła Twardowska-Rogaczewicz



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury - państwowego funduszu celowego



Partnerzy:



Patronat medialny:





Informacje na temat wydarzeń towarzyszących wystawie można znaleźć na stronie internetowej Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze: www.muzeumkarkonoskie.pl oraz na <https://www.facebook.com/MuzeumKarkonoskie/>.

Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze
ul. Matejki 28
58-500 Jelenia Góra



przez Śląsk, Łużyce Górne i 900-letnią kulturę kulinarną w Europie Środkowej”, autorstwa Centrum Dokumentacji i Informacji Krajoznawstwa Śląskiego Haus Schlesien, w Königswinter. Wzbogacają ją liczne obiekty muzealne. W ramach tego bloku przedstawiona jest „Historia jeleniogórskiego piernikarstwa” z zabytkami ze zbiorów Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze, jak również oryginalnymi dokumentami związanymi z jeleniogórskimi piernikarzami, pochodzącymi z jeleniogórskiego oddziału Archiwum Państwowego we Wrocławiu.

Drugi blok to „Historia toruńskiego piernika” zaprezentowana przez „wędrującą” wystawę pt. „Świat toruńskiego piernika”. Obie części wystawy przenikają się poprzez wspólne aranżacje oraz wspólną opowieść snutą na planszach dydaktycznych. Taka prezentacja tematu umożliwia ukazanie specyfiki piernikarstwa na Dolnym Śląsku, historycznie mocno odnoszącego się do rzemiosła piernikarskiego w Europie Środkowej, głównie w Niemczech, Austrii i Czechach oraz umożliwia porównanie jej ze specyfiką piernikarstwa toruńskiego (polskiego).

Wystawa powstała we współpracy z Centrum Dokumentacji i Informacji Krajoznawstwa Śląskiego HAUS SCHLESIEIN z Königswinter w Niemczech i Muzeum Okręgowym w Toruniu (Dział Toruńskiego Piernikarstwa), Towarzystwem Miłośników Muzeum Okręgowego w Toruniu oraz grupą muzeów dolnośląskich: Muzeum Narodowym we Wrocławiu oddział Muzeum Etnograficzne, Muzeum Miedzi w Legnicy, Muzeum Regionalnym w Chojnowie, Muzeum Regionalnym w Jaworze, Muzeum Tkactwa w Kamiennej Górze, Muzeum Ziemi Kłodzkiej w Kłodzku, Muzeum Kultury Ludowej Pogórza Sudeckiego Skansen w Pstrążnej, Muzeum Gospodarstwa Domowego w Ziębicach, Muzeum Powiatowym w Nysie, Muzeum Przyrodniczym w Jeleniej Górze, Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Głogowie i Archiwum Państwowym we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze.

Wystawie towarzyszy katalog kolekcji form piernikarskich ze zbiorów Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze pt. „Tradycje piernikarskie w Jeleniej Górze” oraz cykl działań edukacyjnych (kursatorskie oprowadzania) i warsztatów promujących mało znane dziedzictwo kulturowe regionu – piernikarstwo i jego współczesną kontynuację.

„Wystawa „Historia piernikarskiego rzemiosła” jest efektem realizacji projektu o tym samym tytule wykonanym przez Muzeum Karkonoskie w Jeleniej Górze, współfinansowanym ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego, z budżetu Samorządu Województwa Dolnośląskiego oraz Fundacji KGHM Polska Miedź.”



Fot. Rafał Kotyła



Mała Japonia pod Śnieżką

Jest takie miejsce w Karkonoszach, w którym można poznać roślinność i kulturę Kraju Kwitnącej Wiśni bez konieczności odbycia dalekiej i drogiej podróży. To Mała Japonia – Ogród Japoński Siruwia w Przesiece, który od wielu lat przyciąga rzesze turystów poszukujących orientalnych przygód oraz niecodziennego relaksu na łonie natury.



Mała Japonia – Ogród Japoński Siruwia to jedna z najbardziej znanych atrakcji turystycznych Karkonoszy, która w ostatnich latach zaskarżyła z intrygujących wystaw i spektakularnych imprez związanych z kulturą japońską, które odbywają się w sezonie wiosenno – letnim. Osiem lat temu miejsce to stworzyli od podstaw, krok po kroku, Sylwia i Jakub Kurowscy – pasjonaci i wizjonerzy. Dzięki ich wysiłkom w Przesiece – niedaleko Karpacza i Jeleniej Góry – rozciąga się magiczny park wypoczynku, kultury oraz zabawy dla całej rodziny. W Małej Japonii można oddać się zadumie przy szumie wodospadów w otoczeniu zachwycającej roślinności ogrodu japońskiego. Można też poznać historię i kulturę japońską, zetknąć się z filozofią feng shui oraz przenieść się na chwilę w czasy samurajów – do epoki Edo.

Wysiłki w propagowaniu tradycji i kultury Kraju Kwitnącej Wiśni docenił Ambasador Japonii w Polsce J.E. Miyajima Akio, który osobiście odwiedził Małą Japonię w Karkonoszach z okazji odsłonięcia tradycyjnego Dzwonu Pokoju. Sylwia i Jakub Kurowscy są zapraszani, jako goście honorowi, na szczególne wydarzenia organizowane przez Ambasadę Japońską w Warszawie.

Od tego roku Mała Japonia może się także pochwalić lokalnym sukcesem. Na I Gali Karkonoskiej Marki Lokalnej, zorganizowanej przez Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania „Partnerstwo Ducha Gór”, właściciele Małej Japonii otrzymali certyfikat Karkonoskiej Marki Lokalnej.

Co sprawia, że Mała Japonia z Karkonoszy jest miejscem, które uwodzi tłumy gości z regionu, z Polski i z zagranicy?

Fascynująca roślinność Siruwii

Cały teren Ogrodu Japońskiego Siruwia łączy w przemyślaną, ale też w swobodny sposób, roślinność orientálną z typową roślinnością Karkonoszy. Takie są założenia kompozycji ogrodów japońskich. Obok siebie rosną więc buki i klony palmowe, wiśnie japońskie i jeżyny, różaneczniki oraz wspinałe okazy gunnery olbrzymiej. Znajduje się tu wiele egzotycznych okazów roślinności ze Wschodu, ale tylko te, które są w stanie sprostać surowemu podgórskiemu klimatowi, gdyż ogród położony jest na wysokości 600 m n.p.m. Liczne nasadzenia przecinają kamienne ścieżki, strumienie, stawy oraz spektakularne wodospady. Podobnie jak w innych ogrodach



Fot. Klaudia Ciepińska

XIV w). Prezentowana wystawa to tylko część prywatnych zbiorów Jakuba i Sylwii Kurowskich. Reszta eksponatów czeka na dokończenie budowy specjalnej sali wystawowej, dzięki której światło dzienne ujrzą przepiękne kimono i ryciny.

Kolejną atrakcją, związaną z kulturą i zwyczajami Japonii, jest wystawa lalek japońskich nihon ningyō, na której można podziwiać wyjątkowe figurki w różnych stylach i z różnych epok. Lalki japońskie nihon ningyō są integralną częścią japońskiej kultury i mistyki. Podarowane w dzieciństwie towarzyszą Japończykom przez całe życie jako amulety chroniące przed złymi mocami, jako przedmioty magiczne związane ze światem duchowym.

Kultura Japonii pełna jest różnorodnych talizmanów na szczęście. Bogatą propozycję figurek na szczęście goście Małej Japonii znajdują w specjalnym sklepiku Kyoto Selection. Powstał on jako efekt współpracy Sylwii i Jakuba Kurowskich z prefekturą Kioto. Znajdują się tutaj produkty rzemieślników z okolic Kioto, którzy pracują tradycyjnymi metodami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie. Najbardziej popularnymi talizmanami japońskimi są laleczki kokeshi oraz charakterystyczne koty maneki neko.



Fot. Klaudia Ciepińska

japońskich można natknąć się i tutaj na przepięknie wykonane kamienne latarnie i pagody, i mostki, które wspaniale komponują się z okalającymi je drzewami i krzewami.

Miłośników orientalnej roślinności przyciąga do Małej Japonii również wspaniała kolekcja drzewek bonsai. Niektóre okazy zostały sprowadzone z Japonii i liczą sobie ponad 100 lat. Zbiory miniaturowych drzewek powiększają się z roku na rok, a niektóre okazy zdobywają nagrody na prestiżowych wystawach.

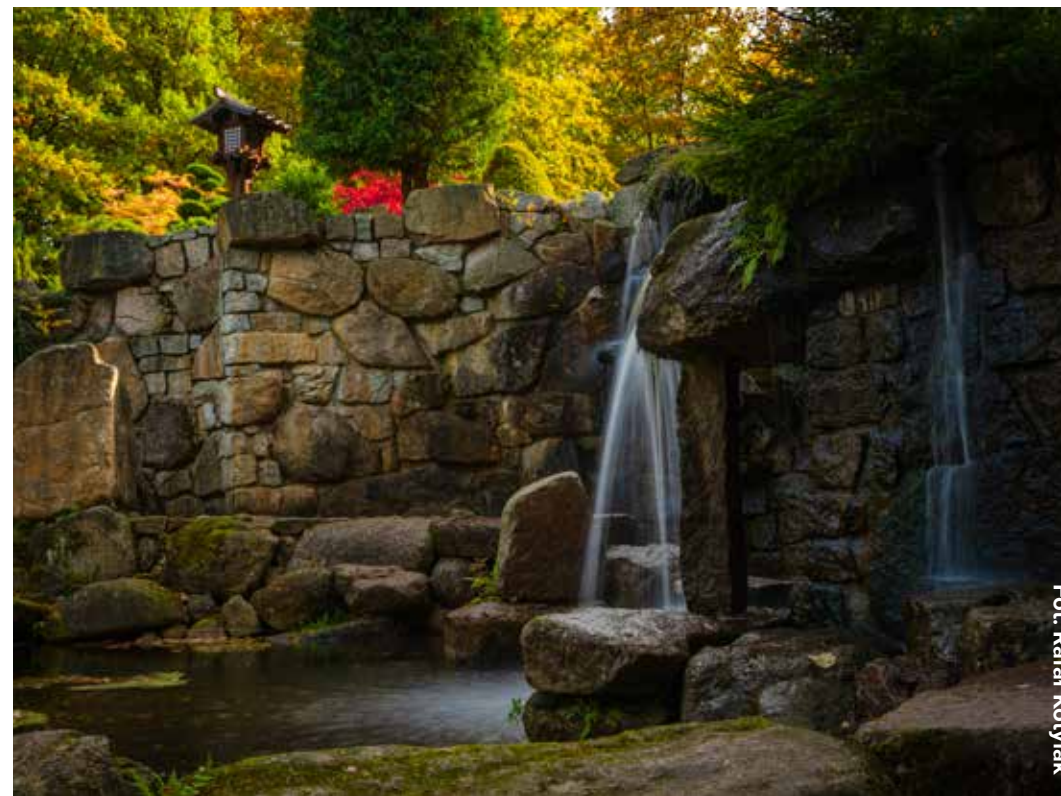
W rytmie przyrody odbywają się w Małej Japonii święta związane z kwitnieniem roślin. Festiwal Kwitnących Azalii i Rododendronów jest najbardziej spektakularnym wydarzeniem, które przypada na przełom maja i czerwca. Zwiedzający Małą Japonię mogą w tym okresie podziwiać wspaniałą kolekcję różaneczników, która liczy ponad 3000 krzewów w około 80 odmianach. Trwający kilka tygodni okres kwitnienia tych krzewów jest zachwycającym widokiem. W tym czasie cały Ogród Siruwa mieni się różnymi kolorami kwiatów i przepięknie pachnie. W połowie czerwca odbywa się tu inne święto związane z bardzo ważnym dla Japończyków wydarzeniem – kwitnieniem wiśni japońskich. Natomiast koniec września zarezerwowany jest na festiwal prześlicznie przebarwiających się liści klonów palmowych. Kwiatowe doznania przyrodnicze kończy przed zimą tradycyjne święto chryzantem Kiku no Sekku, które przypada zazwyczaj na początek października.

Małe centrum wielkiej kultury

Dla zwiedzających, zaintrygowanych Wschodem, Mała Japonia ma do zaoferowania doznania wykraczające poza sferę roślinności. Dzięki zwiedzaniu z przewodnikiem (w ramach biletu wstępu), można zdobyć wiele interesujących informacji dotyczących kultury i filozofii Kraju Kwitnącej Wiśni. W muzeum z wystawą „Samuraj – rycerz dawnej Japonii” są zgromadzone liczne oryginały oraz unikatowe repliki zbroi, oręża i ubiorów z epoki Edo (XVII – XIX w.). To największe w Polsce prywatne zbiory tego typu. Chlubą kolekcji jest unikalne 800 – letnie dzieło sztuki: miecz Tachi z epoki Kamakura (XII –

Japońskie atrakcje w sezonie letnim

W letnim sezonie w Małej Japonii odbywają się liczne festiwale tematyczne, widowiska, pokazy i warsztaty nawiązujące do kultury Kraju Kwitnącej Wiśni. Niemal w każdy weekend zaplanowana jest dodatkowa atrakcja, która sprawia, że miejsce to można odwiedzić wielokrotnie w trakcie jednego sezonu. Tradycyjnie na początku czerwca obchodzony jest z wielką fetą Dzień Dziecka. Podobnie jak w czasie japońskiego odpowiednika tego święta zwanego Kodomo-no Hi, park zabaw dla dzieci ozdobiony jest kolorowymi chorągiewkami z karpami, które są symbolami męstwa i odwagi. Wszystkie dzieci częstowane są specjalnymi, zielonymi lodami z herbatą matcha i biorą udział w bezpłatnych warsztatach origami. Warsztaty sztuki składania papieru stały się dodatkowym bonusem dla wszystkich dzieci w ramach biletów ulgowych.



Fot. Rafał Korylak

Od kilku sezonów hitem weekendowych wydarzeń Małej Japonii są inscenizowane pokazy walk samurajów organizowane pod nazwą „Bitwa Epok”. W trakcie tych pokazów można obejrzeć, jak byli ubrani i jak walczyli samurajowie, zdobyć wiele informacji o rycerzach dawnej Japonii oraz ich kodeksie honorowym. Dużym powodzeniem widzów cieszy się również multimedialne widowisko laserowe pod tytułem „Legenda Japonii”, opowiadające o demonach, baśniach i wierzeniach. W czasie nocnego pokazu ożywają animowane obrazy, dla których ekranem są okoliczne korony drzew i niebo. W Małej Japonii organizowane są rozmaite wykłady, pokazy i warsztaty dla odwiedzających gości. Odbywały się tu już m.in. pokazy sztuki parzenia japońskiej herbaty, warsztaty origami, bonsai



Fot. Klaudia Ciepińska

i niwaki. Wiele imprez w Małej Japonii dotyczy charakterystycznych smaków Kraju Kwitnącej Wiśni: trunków, napojów, przekąsek, ciastek i słodczy. Każdy weekend lata kusi innymi, niezwykleimi imprezami dodatkowymi.

Mała Japonia zaprasza

Niepowtarzalna lokalizacja w środku lasu, liczne i niezwykle atrakcje dla osób w każdym wieku sprawiły, że Mała Japonia w Przesiece stała się obowiązkowym punktem odwiedzin dla gości nie tylko z Dolnego Śląska, ale również całej Polski oraz z zagranicy. Wielu turystów wraca tu co roku, gdyż zachwyca ich wyjątkowa atmosfera tego miejsca. Na najbliższy sezon letni w Małej Japonii szykowane są nowe inwestycje, atrakcje i niespodzianki, które owiane są jeszcze tajemnicą. I chociaż Mała Japonia jest zamknięta na zimę, warto pamiętać, że

w okolicach Wielkanocy zawsze ożywa i zaprasza na kolejną wspaniałą dawkę orientalnych przygód i niezapomnianych doznań w stylu japońskim, które odbywają się w magicznej Krainie Ducha Gór.

MAŁA JAPONIA – OGRÓD JAPOŃSKI SIRUWIA

ul. Brzozowe Wzgórze 8B.
58-562 Przesieka
+48 509 843 069
+48 509 789 426
www.malajaponia.pl



Z Bestiariusza Jeleniogórskiego...

W tym roku po raz czwarty powrócimy do Krainy Wiecznych Mgieł. Wszystko, co dotychczas było nam dane poznać, pochłonął mrok. Światło ostatecznie przepadło. Nastął czas mgieł nieprzeniknionych i Bestii, które w nich żyją. Wojna rozlała się po całej Kotlinie. Jelarska krew wypłukała możliwości pokojowego rozwiązania konfliktu. Pomiędzy górskimi szczytami zaczął nieść się szcęk oręża, jęk konających i rwetes uciekających przed wojenną pożogą. Śmierć, cierpienie i strach stały się chlebem powszednim. Pośrodku całego tego szaleństwa, porzuceni przez los, z własnymi tragediami na barkach, znaleźli się nasi bohaterowie. Dwa równoległe wątki, które przeplatały się przez trzy ostatnie tomy, zaczną składać się w jedną całość. Przyjdzie nam poznać nie tylko czarne karty z przeszłości protagonistów, ale i ich motywacje, które dotychczas majaczyły w mlecznych tumanach, wodząc nas za nos.

Pisząc czwartą część Bestiariusza, wiedziałem jedno, nie będzie tu szczęśliwego zakończenia. Klasyczne Katharsis nie było moim celem. Pod płaszczem powieści fantasy, świata tajemnic, nieznanych Uroczysk i cudacznych Bestii, upchnąłem mrok, który trawi zwykłą rzeczywistość. Czas na nowe historie z Krainy Wiecznych Mgieł. Oto...

Śnidło

Najstarsi mieszkańcy Kotliny powiadają, że Góry Olbrzymie nie wybaczą błędów, że na nic toboły akcesoriami wypełnione, gdy dusza nieobleczona w pokorę. Historia nieraz udowodniła, że prawda w tych gawędach zawarta być musi, bo choć wielu wyruszyło ku szczytom, nie wszyscy zdołali powrócić. A opowieści o śmiatkach, którzy w Karkonoszach bez echa przepadli, przy niejednym ognisku rozbrzmiewały, wywołując na plecach słuchaczy czarcich dreszczy korowód.

Od czasu do czasu w legendach tych przewija się postać Bestii zwanej Śnidłem i dziś właśnie o niej.

To mistyczne mamidło przemierza sudeckie krainy pod postacią kruków, których pióra przesiąknięte są nocą. Mara poszukuje tych, co brawurę za przewodnika obrali. Gdy napotka piechura wycierśczonego, co ostatkiem sił na świat doczesny spogląda, ujawnia się mu pod postacią dostojnej Bestii odzianej w szatę przyozdobioną złotem zachodzącego słońca. W jednej ze swych dłoni dzierży nieodłączny atrybut — długą pikę, Śnikiem zwaną, której grot z karkonoskich kamieni o magicznej mocy został uformowany. Przebija nią ciało konającego, jednak nie po to, by cios ostateczny zadać, lecz by przejście dla duszy otworzyć.

Gdy życiowa esencja wydostanie się na zewnątrz, skupia się ona przed obliczem Śnidła, z którym to wyrusza w dalszą podróż. Celem wędrówki jest Graniczna Łąka, gdzie ponad mętными obłokami, już po wsze czasy, wyluskany przez Bestię duch, górkami widokami delectować się może, jakoby w fantazyjnym śnie był nieustannie pogrążony. Jedni powiadają, że błogosławieństwo to wielkie, jednak czy na pewno? Czy z czasem Łąka ta nie staje się więzieniem dla dusz omamionych? Karą wieczną za Karkonoszy zlekceważenie? Granicą między sferami, której przekroczyć nie można? Jednoznacznej odpowiedzi w tej kwestii nie ma. Czasem tylko, schodząc już po zmroku ze Szrenicy ku niżej położonym terenom, jęki i nieszczęsne biadolenie usłyszeć można. Jednak czy to wiatr huczy tak przeraźliwie? Czy może melodia to pełna rozpacz, wygrywana jest przez stęsknione i zniewolone dusze? Tego już się nie dowiemy...

Czwarty tom „Bestiariusza Jeleniogórskiego” trafić będzie w ręce czytelników od połowy grudnia 2022 r.

Opowiadania i obrazy: Tomasz Szyrwiel

Śnidło





Zeskanuj kod QR i...

- posłuchaj w aucie
- posłuchaj podczas wędrowki
- mapy na smartfonie
- zobacz zdjęcia i filmy
- pojedź i zobacz



Cechą szczególną takich drewnianych budynków są bogato zdobione balkony. Każdy dom posiadał unikalne ornamenty balustrady.

Austriacy protestanci przybyli pod Karkonosze na zaproszenie hrabiny von Raden z Bukowca w 1837 roku. Początkowo osiedlili się w Kowarach a już w kolejnym roku przenieśli się do Mysłakowic.

Szacuje się, że swoje rodziny na Karkonosze musieli opuścić ponad 400 ludzi. Nad przybyszami z doliny rzeki Zilber protestantami pieczę trzymał Edmund Johannes Feidl.

< WSTECZ DALEJ >



Gmina Janowice Wielkie



Miasto i Gmina Karpacz



Miasto i Gmina Kowary



Gmina Mysłakowice



Miasto i Gmina Piechowice



Gmina Podgórzyn



Miasto i Gmina Szklarska Poręba



Miasto Jelenia Góra

O radości z szusowania

Znasz tę radość: wysoko w górach, z nartami na nogach stoisz na rozległej, ośnieżonej łące, opatulony w wirujące płatki śniegu? A w dole bajkowe, jakby zasnuwane mgłą, samotne chaty. Odetchnij tak wolny! I dalej, z okrzykiem radości, poszybuj w dół! Sfruń po białym aksamicie zbocza, tak cicho i lekko, niczym tchnienie wiatru! Tak, że się śnieg prawie nie wzbija, prawie bez śladu (...). I tylko jeszcze szelest i szum w uszach. Tak stałem samotnie w górach — wokoło martwa cisza — i spoglądając w przeszłość, wyśmiewałem życie w mieście. Pijany siłą i wolnością zjeżdżałem do mego śpiącego zimowym snem górskiego gniazda, i wciąż od nowa, od nowa czułem, co znaczy być człowiekiem!

(Carl Hauptmann w: Wiater P.: Pionierzy nart u Ducha Gór, Jelenia Góra 2022, s. 135)

Każdy z nas może ją poznać. Wystarczy tylko stanąć na nartach, bodaj na Izerskiej Łące albo na Hali Szrenickiej. Nie trzeba zaraz kupować całego wyposażenia narciarskiego za worki monet w najdroższym narciarskim sklepie. Wystarczy para wypożyczona za kilka dyszek.

Uczucia, o jakim pisał Carl Hauptmann przed grubo ponad 100 laty, możemy zażyć dzięki niepoprawnym marzycielom, niespokojnym duszom, wisusom wyrośniętym ze spodenek, a jednak wciąż marzącym o zdobywaniu nieosiągalnego. To właśnie oni, począwszy od Fridtjofa Nansena, poprzez Mathiasa Zdarsky'ego, Oskara Vorwerga, braci Adolph, Stanisława Barabasza, Mariusza Zaruskiego, aż po Oliviera Perry-Smitha i poprzez Wandę Bibrowicz oraz Elżbietę Michalewską, stawiając pierwsze śmiałe kroki i robiąc niezdarne szusy, udowodnili ludzkości na świecie, w Sudetach, Alpach i Karpatach, że dwie dechy i śnieg to żywioł, szyk i biznes.

Oczywiście zanim ów biznes się rozwinął, zanim zatrudniły się w nim setki tysięcy ludzi, były tatrzańskie wyrypy, karkonosko-izerskie rajdy, skakanie z dachu schroniska i skrzydła na plecach narciarza. Łamano sobie głowy nad sposobami przytroczenia narty do stopy, by nie złamać nogi, lecz pędzić z zapartym tchem. Podkradano matkom i żonom żelazka do prasowania narciarskich ślizgów, by wszelkie tłuste i lepkie mazie lepiej wsiąkały w drewno. Doskonalono zjazdy i sposoby na hamowanie. Spierano się nad skutecznością dwóch kijów miast jednego. Zawiązywano towarzystwa i dopominano się wyprowadzenia żelaznej kolei wysoko pod wierzchy. Wojskowi zaś ćwiczyli zastosowanie nart w taktyce.

To wszystko było sztuką tak trudną, że samo trwanie w byciu pionierSKIm, było wyzwaniem godnym herosów. A samo nart używanie? To dopiero sztuka! Zjazd odbywa się w ten sposób, że narciarz siada na górze w kucki, opiera się mocno na kiju i zamyka oczy. Potem prosto jak strzała zjeżdża tak długo, aż mu zabraknie tchu. Teraz musi rzucić się bokiem na śnieg i czekać następnie, aż znowu złapie oddech, by móc kontynuować zjazd szusem. Powtarza to tak długo, aż uda mu się zjechać do samego dołu.

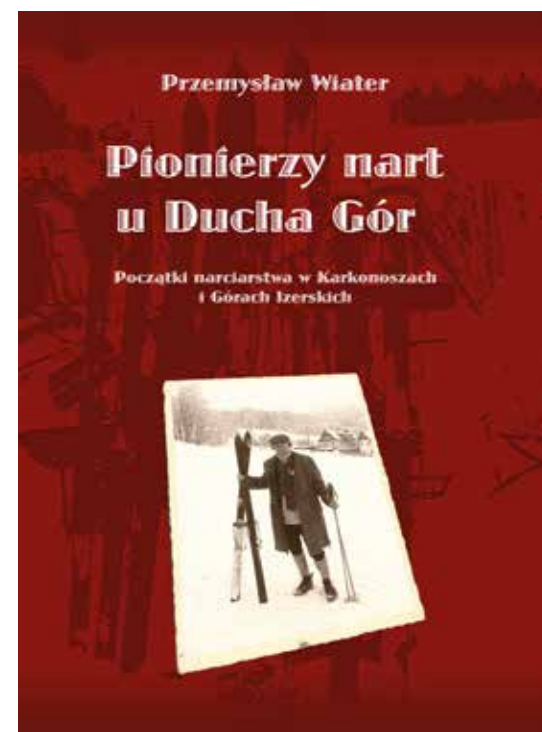
(Wiater P.: Pionierzy nart u Ducha Gór, Jelenia Góra 2022, s. 87)

Książka „Pionierzy narciarstwa u Ducha Gór” to przygoda niegorsza od wyczynów jej bohaterów. Przez 160 stron (bez dodatków) dr Przemysław Wiater, gnany przez wichurę zmian w górach na przełomie XIX i XX stulecia, pokazuje nam niezwykle barwne zjawisko. Oczywiście przez pryzmat ludzi, bo tak właśnie jest najciekawiej. Przedstawia nam zapaleńców, którzy stawili ziemie i Duchowi Gór czoła, dla własnej, czystej przyjemności. Takiej, o której pisał Carl Hauptmann. Prowadzi czytelnika od pierwszych, najdalej osadzonych w czasach przedhistorycznych śladów na śniegu. Na długo zatrzymuje się w epoce, kiedy ludzie nabrali odwagi do zmagania się z żywiołami. Na deser częstuje nas historią najnowszą, kiedy to po 100 latach od wymyślenia karkonosko-izerskiego narciarstwa, romantycy wskresili pionierskie narciarstwo w formie sentymentalnej.

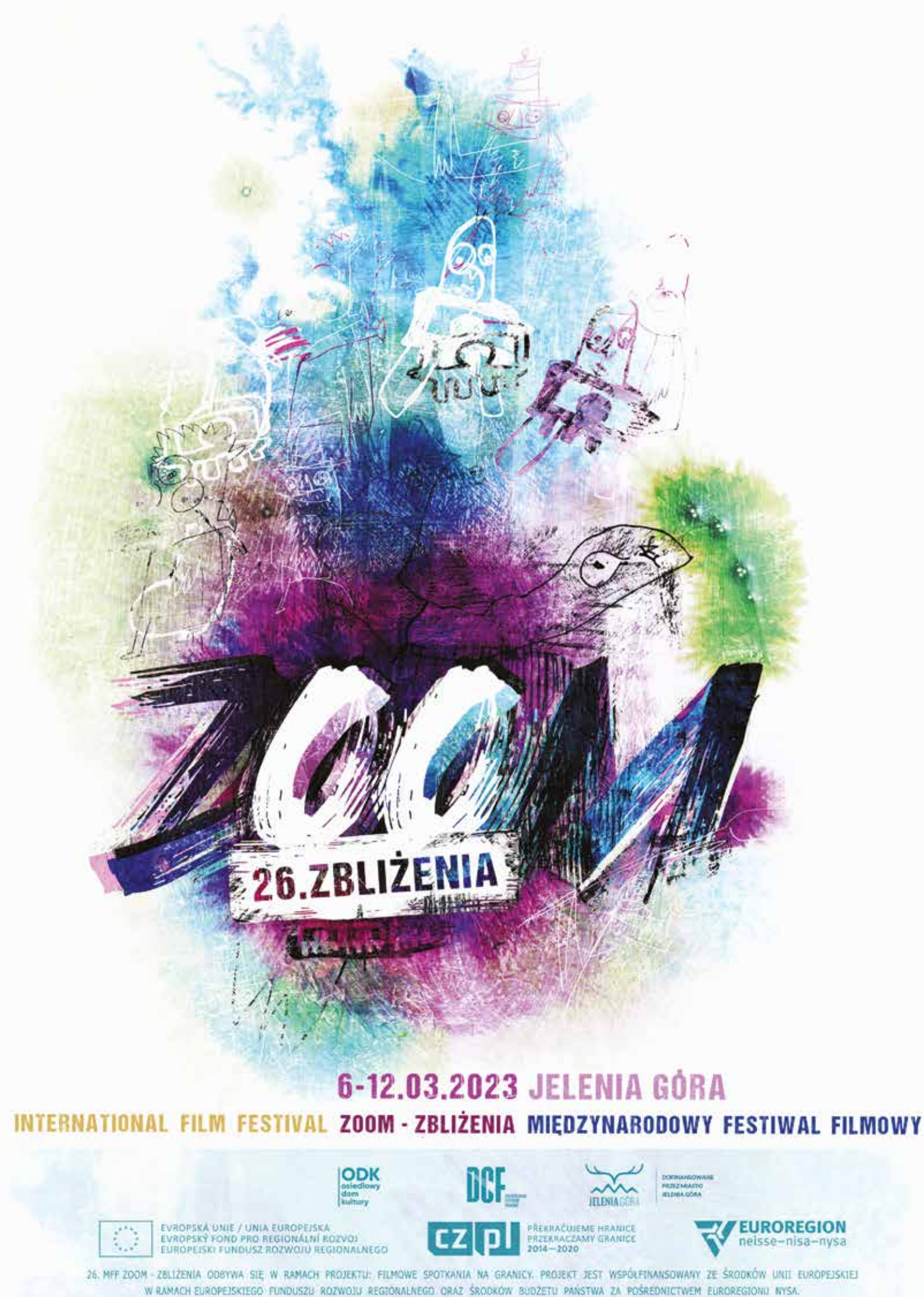
Opowieść o prekursorach białego szaleństwa w Górach Olbrzymich jest wyjątkowa. To, niestety, ostatnia książka Przemysława Wiatera — regionalisty i publicysty, który sam był pionierem u Ducha Gór. Jako jeden z pierwszych podejmował tematy, które z powodów historycznych i politycznych wcześniej były przemilczane. Odkrywał na nowo dla Polaków kolonię artystów w Schreiberhau, wydobył z głębokiej studni niewiedzy wybitne postacie pogrzebane na Panteonie Karkonoszy, przypominał o zielarzach i poszukiwaczach drogocennych darów górskiej ziemi. Przed Przemkiem nikt tego nie robił na taką skalę i z taką systematycznością.

Ostatnią książkę pisał właściwie przez sporą część swego życia. Temat podjął już grubo 20 lat temu i opisał go w wielu publikacjach prasowych. Kiedy wreszcie zebrał myśli w zwartym druku — Duch Gór wezwał go do innego wymiaru. Tym bardziej warto tę książkę przeczytać...

Arkadiusz Lipin



Książka ukazała się w drugą rocznicę śmierci autora. Wydawnictwo AD REM, Jelenia Góra 2022. Twarda oprawa, 188 stron, 56 ilustracji.



26. ZBLIŻENIA

6-12.03.2023 JELENIA GÓRA

INTERNATIONAL FILM FESTIVAL ZOOM - ZBLIŻENIA MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY

ODK oświeceniowy dom kultury

DCF

JELENIA GÓRA

DOFINANSOWANE PRZEZ MIASTO JELENIA GÓRA

EVROPSKÁ UNIE / UNIA EUROPEJSKA EVROPSKÝ FOND PRO REGIONÁLNÍ ROZVOJ EUROPEJSKI FUNDUSZ ROZWOJU REGIONALNEGO

CZP

PRĘKRAČUJEME HRANICE PRĘKRAČAJAMO GRANICE 2014–2020

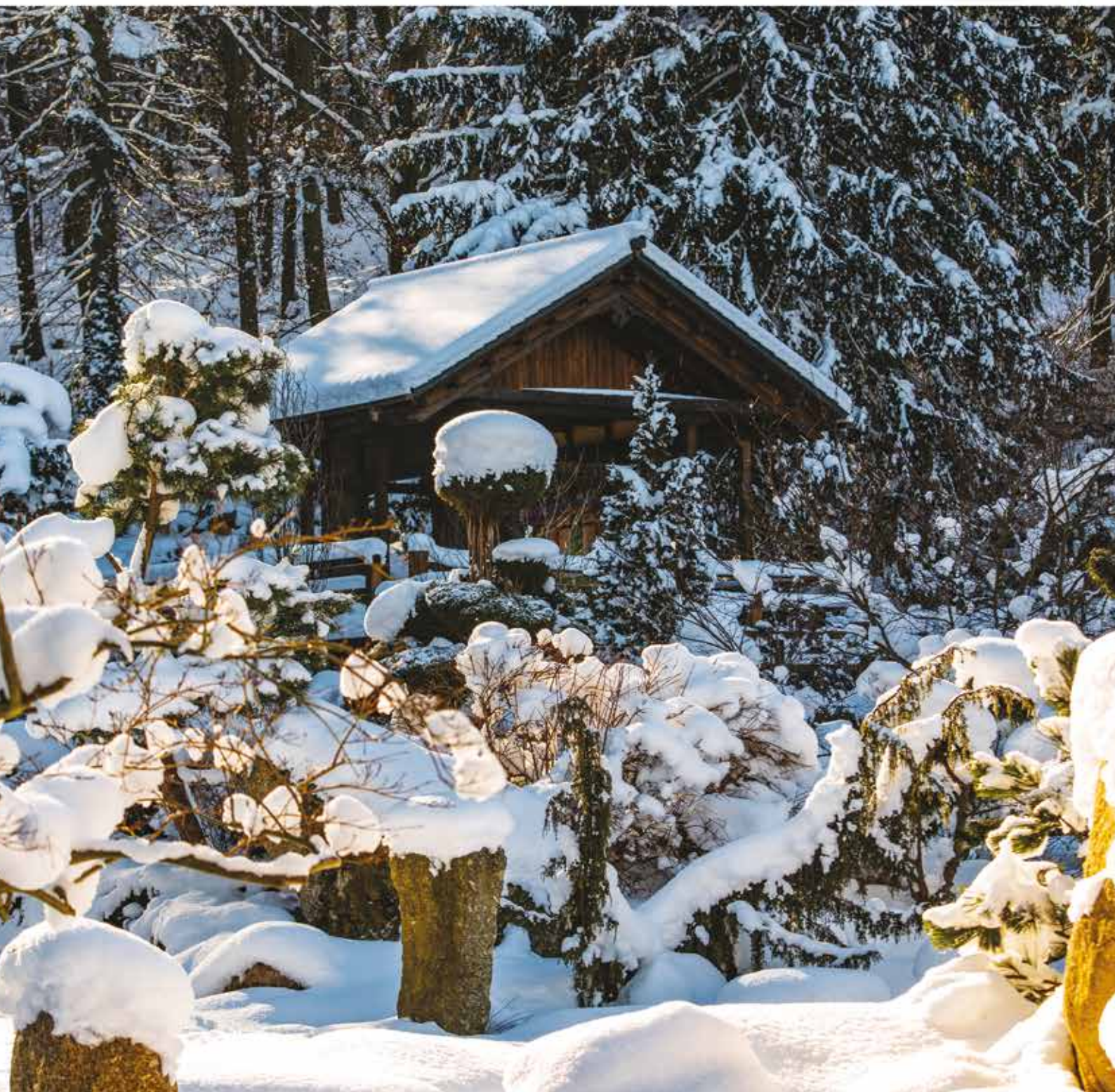
EUROREGION neisse–nisa–nysa

26. MFF ZOOM - ZBLIŻENIA ODBYWA SIĘ W RAMACH PROJEKTU: FILMOWE SPOTKANIA NA GRANICY. PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW UNII EUROPEJSKIEJ W RAMACH EUROPEJSKIEGO FUNDUSZA ROZWOJU REGIONALNEGO ORAZ ŚRODKÓW BUDŻETU PAŃSTWA ZA POŚREDNICTWEM EUROREGIONU NYSa.



MAŁA JAPONIA

OGRÓD
JAPONSKI
W PRZESIECE



58-562 Przesieka, ul. Brzozowe Wzgórze 8B

GPS 50.802998, 15.677160

tel. 509 789 426 + 509 843 069